



Alter pop #23

Dźwięk:

Obraz:

Słowo:

Interakcje:

Alter
pop
MAG E-ZINE

numer 23
listopad-grudzień 2014
ISSN 2084-4999

Redaktor naczelny
Tadeusz Bisewski

Redakcja
Maciej Kaczmarek
Agnieszka Kalus
Jakub Miłszewski
Dawid Myśliwiec
Wojciech Onyszków
Dawid Wiktorski

Korekta
Michał Adamski

Wydawca
Fundacja Alterpop
Plac Kaszubski 8/205
81-350 Gdynia



WSPIERAMY KULTURĘ, ZMIENIAMY LUDZI

KULTURA JEST WSZĘDZIE

Na co dzień nie zdajemy sobie sprawy z tego,
jak duży wpływ ma na nas kultura.

W społeczeństwie powszechnie korzystającym z dóbr
kultury żyje się lepiej – świat jest ciekawszy, ludzie mają
więcej empatii, gospodarka jest bardziej innowacyjna...

Dowiedz się więcej o fundacji na:

ALTERPOP.ORG.PL

Doładuj telefon i czytaj Alterpopa:

doładowania.alterpop.pl

** z potwierdzeniem doładowania zawsze otrzymasz link do najnowszego numeru*

PREMIERY

plytowe

#ambient #drone

Alessandro Cortini

Sonno

Alessandro Cortini jest cenionym muzykiem sesyjnym i klawiszowcem Nine Inch Nails, ale jego solowe dokonania zostawiają daleko w tyle ostatnie osiągnięcia Trenta Reznora i spółki. **Sonno** to już trzeci longplay, jaki urodzony w Bolonii artysta wydał pod własnym nazwiskiem (bo nagrywa też m.in. jako SONOIO i Blindoldfreak).

Wypełniająca płytę muzyka to staroświecka elektronika przenosząca słuchacza do lat 70. ubiegłego wieku. Przed oczami stają wręcz wąsaci pióracze, którzy popalają trawkę i grają na moogach w jakimś studiu nagraniowym z widokiem na mur berliński. Niepokojące, wprowadzające w trans instrumentalne kompozycje – pełne drone’ów, pogłosów i syntezatorowych pulsacji – kojarzą się zarówno z poszukiwaniami niemieckich krautrockowych grup pokroju Tangerine Dream i Ash Ra Tempel, jak i z soundtrackami do włoskich horrorów **giallo**. Słysząc tu również echa eksperymentów Davida Bowiego i Briana Eno na płytach **Low** i „**Heroes**”.



◀ *klikaj numer strony, aby wracać do spisu treści*

Ten intrygujący „analogowy” charakter całości zupełnie nie przystaje do większości współczesnej elektroniki i na tym również polega jego siła. Ewenement.

#elektronika #hip-hop #jazz

Flying Lotus

You're Dead!

Steven Ellison w dość krótkim czasie przeszedł długą drogę – od skromnego hip-hopowego beatmakera ze szkoły Prefuse 73 i J Dilli, po jednego z najbardziej uznanych twórców nowych brzmień. Herbie Hancock powiedział wręcz, że gdyby Miles Davis nadal żył, nagrywałby właśnie z Lotusem.

Odsłuch najnowszego, piątego już albumu Kalifornijczyka zdaje się potwierdzać słowa autora **Rock It**, który zresztą udziela się na **You're Dead**. Pojawiają się też inni goście – rapery Snoop Dogg (**Dead Man's Tetris**) i Kendrick Lamar (**Never Catch Me**), wokalistka Angel Deradoorian z Dirty Projectors (**Siren Song**), basista Thundercat i kilkunastu innych.

Ellison z natchnioną lekkością zaciera granice między stylistykami, serwując niespełna czterdziestominutowe dzieło z pogranicza jazzu, hip-hopu i elektroniki. FlyLo, jak nazywają go fani, już dawno wyszedł poza stricte laptopową twórczość, poszerzając środki wyrazu o własny wokal i „żywe” instrumenty – bębny, klawisze, bas, saksofon, elektryczne pianino Rhodesa (na niektórych z nich autor gra osobiście, na innych liczni współpracownicy). To nie tylko pokaz błyskotliwego talentu i nieskrępowanej wyobraźni muzycznej. To również medytacja nad



Skala ocen:

Space Ritual

Stairway To Heaven

To musi być miłość

Dusza diabłu sprzedana

Nadciągą noc komety

I Can't Get No Satisfaction

Welcome To The Jungle

Ta piosenka powstała dla pieniędzy

**
Mam tak samo jak ty

*
Kim jest człowiek,
jeśli nie człowiekiem tylko



śmiercią i hołd dla zmarłych bliskich amerykańskiego producenta, uwiecznionych na okładce – m.in. dla matki, ciotki Alice Coltrane (wdowie po Johnie) i przyjaciela Austina Peralty, wybitnego pianisty, który przedawkował narkotyki w wieku zaledwie 22 lat.

Wydaje się, że Flying Lotus wreszcie osiągnął to, co usiłował skutecznie na dwóch poprzednich płytach, ***Cosmogramma*** i ***Until The Quiet Comes*** – doskonałą, pozbawioną szwów fuzję gatunkową.

#dub #reggae

Mantis

Collapsizm

Jak głosi informacja we wkładce, Mantis to duet tworzony przez Moss i La-pachu. Niewiele o nich wiadomo – pochodzą prawdopodobnie z Japonii i zadebiutowali w 2009 r. płytą ***dubious***, na której pojawił się wokalista Paul. St Hilaire vel Tikiman, znany m.in. ze współpracy z Rhythm & Sound, Beat Pharmacy i triem Moderat. Pochodzący z Dominikany śpiewak użycza też swojego głosu na drugim albumie Mantis. Nowym, godnym odnotowania współpracownikiem duetu jest Stefan Betke (znany z doskonałego projektu Pole), który zajął się masteringiem całości.

Te tropy powinny zdradzać konwencję, w jakiej porusza się tajemniczy projekt: duszny, gęsty jak smoła i równie czarny dub z eksperymentalnym zacięciem. Skąpane w pogłosach i delayach kompozycje pulsują smagnięciami niskiego basu i hipnotycznej rytmiki, wprowadzając ciało i umysł w odprężający stan. W dwóch utworach rozbrzmiewają zaśpiewy Hilaire'a



(*Tropic* i *Wreckage*), w jednym, utrzymanym w trip-hopowej konwencji *Crisis*, uwodzicielski głos niejakej San. Pozostała piątka jest instrumentalna.

Jedyna wada tego albumu to jego długość – dubowa mgła ulatuje po zaledwie 35 minutach. Dobry Jah dał nam jednak w swej mądrości przycisk „repeat”, który w przypadku *Collapsizm* jest bardzo wskazany.

#blus-kantry-pank

Marszałek Pizdudski One Man Band

Marszałek Pizdudski One Man Band

*** dla zgreków**

******* dla pozostałych**

Prowokacyjne pseudo, brutalne i jednocześnie przezabawne teksty utworów oraz jednoznaczny przekaz na okładce: „Nikogo nie pozdrawiam, wszystkich nienawidzę. Marszałek”. Od razu znać, że ten człowiek nie uznaje kompromisów. Sam komponuje i pisze słowa. Sam śpiewa, grając jednocześnie na gitarze i bębnach, jak na człowieka-orkiestrę przystało (do sprawdzenia na koncertach, które są zjawiskami samymi w sobie – nie do przegapienia).

Przemysław Nowaczek, szczeciński muzyk znany m.in. z Vespy i Pomorzan, ukuł na swoją twórczość termin „blus-kantry-pank”. Połączenie tradycji amerykańskich śpiewających gitarzystów sprzed wieku z zadziornością punk rocka robi piorunujące wrażenie. Jest świeże, odważne, oryginalne, pełne dystansu i czarnego humoru. W warstwie muzycznej przypomina to znakomitą płytę *Keep On Your Mean Side* duetu The Kills, w tekstowej – spostrzeżenia nie tylko punkowych komentatorów rzeczywistości, ale i Tymona Tymań-



skiego na słynnym **P.O.L.O.V.I.R.U.S.-ie** Kur. Obrywają więc politycy (**Chuj ci do tego**), duchowni (**Jaka twoja rada, klecho?**), pijacy (**Gdzie nie pójdę**), złe kobiety (**Idź w chuj**), koledzy z zespołu (**I go solo**) i krytycy muzyczni (**Puśćcie coś fajnego**). Są też miejskie opowieści (**Prawdziwa historia Haliny K.**), wspomnienia „starych dobrych czasów” (**Dziś nie kupisz tego już**) i erotyki według najlepszej bluesowej tradycji (**Rok minął, Powiedz zaraz mamie**). Czyli generalnie wszystko na nie, ale z przymrużeniem oka.

Zjawisko, jakim jest Marszałek, trzeba samemu usłyszeć, zobaczyć i (nie) zrozumieć. A że ostatni kawałek nosi tytuł **Nie bądź taki sędzia**, niech każdy (nie) oceni sobie sam. Nie pozdrawiam zgredów.

#elektronika #idm

Vittoria Fleet

Acht LP

Ona pochodzi z Sycylii, on jest rodowitym Londyńczykiem. Mieszkają w Berlinie. Ona śpiewa, on odpowiada za produkcję. Razem komponują. Giada Zerbo i Allan Shotter działają pod szyldem Vittoria Fleet od pięciu lat. Zadebiutowali w 2011 r. EP-ką **Kissing Cousins**, zaś ponad pół roku temu wreszcie ukazał się ich debiutancki album. **Acht LP**, bo o nim mowa, to krążek eksperymentalny w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Formuła tradycyjnej piosenki została zestawiona z dźwiękowymi poszukiwaniami na polu elektroniki. Delikatny, zwiewny wokół Zerbo ustawiono w poprzek rozbudowanych beatów, ambientowych przestrzeni, niskich



basów, klikania, trzeszczenia i rozmaitych efektów producenckich. Pomimo licznych dysonansów, wszystko brzmi niezwykle harmonijnie. Centralnym elementem są fluktuujące syntezatory, które generują cudowne, wszechogarniające arpeggia na granicy fałszu (co jest, rzecz jasna, celowym zabiegiem). Te piętrzące się kaskady świdrujących dźwięków wywołują jednocześnie zachwyt i niepokój. Bo **Acht** to płyta piękna, uwodzicielska i zachwycająca, a jednak uwierająca, tęskna, niepokojąca, a chwilami otwarcie dramatyczna. Wspaniale.

Opracował: Maciej Kaczmarek

#rock progresywny

Pink Floyd

The Endless River

Pierwsza płyta Pink Floyd po 20 latach, chociaż niezupełnie nowa, bo stworzona na podstawie materiałów z sesji nagraniowej poprzedniego albumu. Jest to pożegnanie z fanami i zapewne również hołd dla zmarłego członka zespołu, Richarda Wrighta, który miał duży udział w tworzeniu tego materiału.

Ta płyta to wspaniały prezent dla fanów zespołu. Uważnemu słuchaczowi nie umkną dźwiękowe odniesienia do starszych płyt. To swego rodzaju układanka, rebus, zabawa ze słuchaczem. Powtarzają się motywy, dźwięki, brzmienia. Ale nie brakuje i nowych melodii, jednak nawet te utrzymane są w charakterystycznym dla Floydów brzmieniu – szczególnie tym późniejszym, gilmourowym.



A co jeśli nie zna się na wrywki wszystkich albumów Brytyjczyków? Wówczas otrzymuje się po prostu album pełen pięknych dźwięków. W większości utrzymanych w nastroju spokojnym, lecz nie bez odrobiny napięcia, niepewności. Na pewno warto posłuchać, chociaż może nie jako reprezentatywny krążek Pink Floyd. Bez wątpienia jednak każdemu słuchaczowi da wiele przyjemności.

Jak na tę grupę przystało, płyta została zagrana i zrealizowana na najwyższym poziomie. Jednak konstrukcja albumu jest odmienna od tego, do czego się przyzwyczailiśmy. Zespół, który tworzył bardzo rozbudowane, kilkunastominutowe utwory, zdecydował się teraz na nagranie 16 ścieżek, wśród których ponad połowa nie trwa nawet dwóch minut. Jednak słuchacz przechodzi płynnie między nimi i nie zauważa, jak odtwarzacz zlicza kolejne utwory. Nietypowo również wokal usłyszymy tylko w jednej piosence – umieszczonej na końcu *Louder Than Words*. Dlaczego tak? Odpowiedzią może być poniekąd nawet sam tytuł utworu.

Tadeusz Bisewski

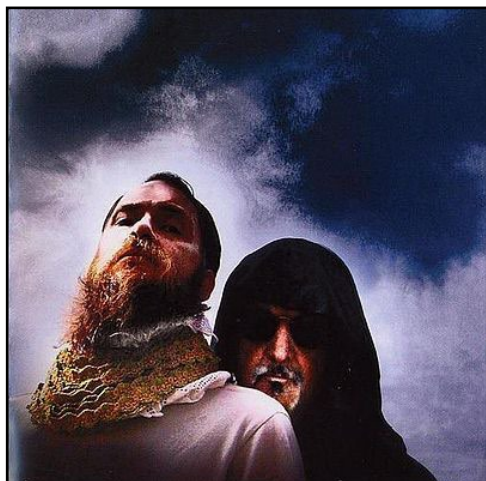


Coil *alchemicy dźwięku*

Dziesięć lat temu, 13 listopada 2004 roku, zmarł tragicznie Geoffrey Laurence Burton, znany lepiej jako **John Balance** – muzyk, tekściarz, kompozytor, wokalista i współzałożyciel Coil. Jego przedwczesna śmierć oznaczała jednocześnie koniec jednego z najbardziej niezwykłych projektów w historii muzyki.

Współcześni szamani zafascynowani magią, okultyzmem oraz wszelkimi technikami komponowania, nagrywania i obróbki muzyki. Genialni chirurdzy muzycznych deformacji, łączący w swojej twórczości przystępne melodie z mistycznymi pieśniami, instrumenty akustyczne z wyrafinowaną elektroniką, rozmach z minimalizmem, ryszotk z poezją najwyższych lotów. Kiedyś pewien dziennikarz zapytał Balance'a i Petera „Sleazy’ego” Christophersona (drugi filar Coil), jak udaje im się nagrywać tak niebywałą i na wskroś oryginalną muzykę. W odpowiedzi usłyszał, że wynika to ze swego rodzaju braku profesjonalizmu – ponieważ nie potrafili grać na żadnym instrumencie i nie znają zasad komponowania, wszystko tworzą całkowicie intuicyjnie. Było w tym trochę kokieterii, bo obydwoj świetnie radzili sobie w studiu, ale jedno nie ulega wątpliwości: intuicję mieli niebywałą i rzadko ich zawodziła.

W ciągu ponad 20 lat działalności przez skład Coil przewinęło się wielu muzyków, ale od samego początku to właśnie Christopherson i Balance byli jego absolutnymi liderami – począwszy od muzyki, poprzez teksty, a na szacie graficznej płyt kończąc. Warto tu wspomnieć, że Christopherson był uznanym



Coil

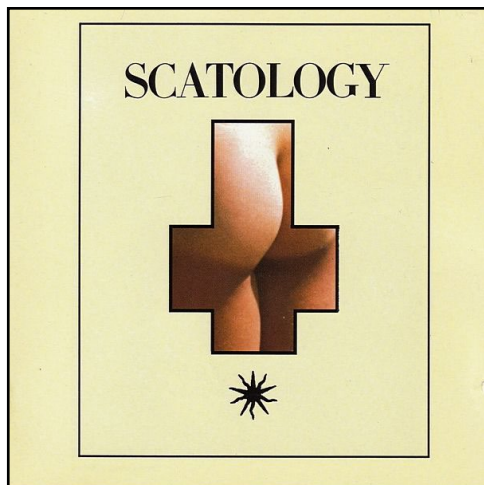


grafikiem i fotografem. Należał swego czasu do wpływowej grupy designerskiej Hipgnosis, która miała na koncie m.in. ikoniczną okładkę **The Dark Side Of The Moon** Pink Floyd. Robił też wideoklipy dla Nine Inch Nails, Sepultury i Rage Against The Machine. Christopherson i Balance poznali się w drugiej połowie lat 70., gdy ten pierwszy zasilął szeregi Throbbing Gristle, drugi zaś był początkującym muzykiem i jednym z największych fanów grupy dowodzonej przez Genesisa P-Orridge'a. Kiedy ta się rozpadła, rzucając wcześniej podwaliny pod nurt industrialny w muzyce, P-Orridge założył nową i ochrzcił ją jako Psychic TV, dokooptowując do składu Christophersona i Balance'a. W 1984 roku, w wyniku sporu ideologicznego, opuścili zespół i skupili się na własnym projekcie, który powołali do życia dwa lata wcześniej.

Najpierw nazwali się Zos Kia (wraz z Johnem Goslingiem). Pod tym szyldem dali cztery koncerty i wydali jed-

ną kasetę. Później nagrali płytę razem z Current 93 jako Sickness of Snakes. Wreszcie, podczas pracy nad pierwszym oficjalnym wypustem, przybrali nazwę Coil, inspirować się wszechobecnym motywem spirali w naturze. Dwunastocalowy winyl zatytułowany **How To Destroy Angels** ukazał się w 1984 roku i zawierał tylko dwa utwory – po jednym na obydwu stronach czarnego krążka (ten na „B” powstał z szumów i hałasów). Na okładce znalazła się informacja, że muzyka nań zawarta sprzyja „akumulacji samczej energii seksualnej” i została nagrana z uwzględnieniem tych warunków technologicznych, pogodowych i spirytystycznych, które członkowie Coil uznali za istotne pod względem magicznym. Płyta stała się wydarzeniem w podziemnym świecie brytyjskiej muzyki eksperymentalnej – pełnowymiarowy album był kwestią czasu.

Scatology ukazał się w tym samym roku. Wypełniała go dziwaczna mieszanka industrialu, post-punku, samplingu i flirtów z mainstreamem. Przykładem tego ostatniego jest nie tylko quasi-funkrockowy **Panic**, ale i przeróbka **Tainted Love** – spopularyzowanej przez Soft Cell piosenki z repertuaru Glorii Gaynor. Utwór doczekał się nawet wideoklipu, wyreżyserowanego przez Christophersona. Dziś ten krótki film jest eksponatem stałej wystawy w nowojorskim Museum of Modern Art. Ale **Scatology** zyskał rozgłos także z innego powodu: okładkę wersji kompaktowej ozdobiły nagie męskie pośladki wkomponowane w odwrócony krzyż. Nie oznaczało to, że członkowie Coil czczą Szatana – byli raczej prowokatorami o czarnym poczuciu



Coil

Scatology





Coil około 2002 roku

humoru. W dokonaniach Coil próżno szukać jakichkolwiek satanistycznych przekazów. Balance i Sleazy przyznawali, że nie czują się związani z żadną konkretną religią ani systemem wierzeń, ponieważ nie lubią dogmatów – ani chrześcijańskich, ani buddyjskich, ani żadnych innych. Po koncercie Coil w gdańskim Kościele Św. Jana w październiku 2002 roku, Balance powiedział: „Nie jestem chrześcijaninem, ale nie będę wrogo nastawiony wobec tak cudownego miejsca z tak wyjątkowymi ludźmi. Jak mógłbym? Jak śmiałbym? Nie odważyłbym się. To zbyt piękne”.

Najwyraźniejszym wątkiem „diabolicznym” w historii Coil jest być może nieudana przygoda z pewnym filmem. Pod koniec lat 80. Clive Barker zaproponował Balance’owi i Christophersonowi nagranie soundtracku do filmu *Hellraiser*, znanego w Polsce jako *Wyśłannik piekieł* – kultowego horroru, bardzo krwawego i śmiałego jak na

ówczesne standardy. Zaproponowane przez artystów utwory okazały się jednak za mało komercyjne i zbyt przerażające, wręcz demoniczne – nawet jak na kino grozy – i ostatecznie nie zostały wykorzystane. Barker przyznał, że twórczość Coil przyprawiła go o skreślenie jej jak żadna inna muzyka. Balance’a i Christophersona nie zraziło to jednak do współpracy z filmowcami – kilka lat później skomponowali ścieżkę dźwiękową m.in. do *Blue i Angelic Conversation* Dereka Jarmana oraz do *Sarah Dales Sensuous Massage* i *Gay Man’s Guide to Safer Sex*. Tytuł ostatniego filmu i postać Jarmana nie są przypadkowe – zarówno Balance, jak i Christopherson byli zdeklarowanymi homoseksualistami, przez pewien czas tworząc parę.

Kolejny album, zrealizowany w 1986 roku *Horse Rotorvator*, był bardziej eksperymentalny od swojego poprzednika. Tytuł płyty nawiązywał do wizji,



Peter Christopherson

która rzekomo odwiedziła Balance'a w środku nocy – muzyk utrzymywał, że zobaczył na poły mechanicznego, na poły cielesnego potwora, który orał ziemię: „Naprawdę straszliwe, płonące, ociekające krwią szczęki, tak jakby Czterej Jeźdźcy Apokalipsy zabili swoje konie i użyli ich żuchw do stworzenia tej potężnej, toczącej ziemię maszyny”. Inne inspiracje stanowiły m.in. plaga AIDS, która dotknęła przyjaciół Christophersona i Balance'a, tajemnicza śmierć kontrowersyjnego włoskiego reżysera Piera Paolo Pasoliniego oraz... białe klify w Dover – jedno z najbardziej popularnych miejsc wśród samobójców. Na okładkę wybrano zdjęcie podestu dla wojskowej orkiestry, które kilka lat wcześniej stało się celem zamachu bombowego IRA. Swoistym dodatkiem do **Scatology** i **Horse Rotorvator** jest płyta **Gold Is The Metal With The Broadest Shoulders** z 1987

roku – zbiór odrzutów, wersji demo i kompozycji przygotowanych z myślą o wspomnianym wcześniej **Wysłanniku piekła**.

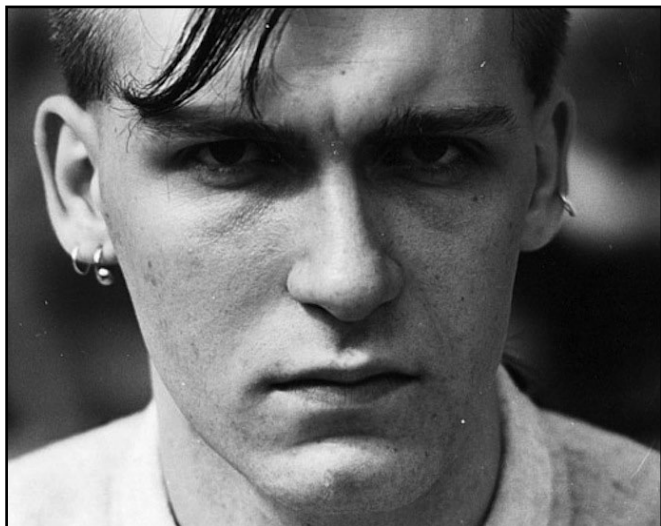
O nagrywaniu następnej płyty Coil, **Love's Secret Domain** z 1991 roku, krążą legendy. Muzycy utrzymywali, że podczas długich, całonocnych sesji w studiu mieli kontakt z bezcielesnymi istotami, które brali za zjawy. Jak wspominał Stephen Thrower, który brał udział w nagrywaniu albumu, wszyscy zaangażowani w produkcję spożywali wówczas wszelkie narkotyki, jakie tylko ktoś przyniósł ze sobą (szczególnym zainteresowaniem cieszyły się MDMA i amfetamina; LSD podobno nie, choć pierwsze litery słów tworzących tytuł wydają się co najmniej podejrzane). Po zakończeniu jednej z sesji nagraniowych, wycieńczony Balance upadł nieprzytomny na podłogę, nie wiedząc kim jest i gdzie się znajduje. Kilka dni

później poddał się dobrowolnej kuracji odwykowej. Balance i Sleazy do końca życia eksperymentowali z narkotykami, wśród których najbardziej upodobali sobie tzw. „smart drugs” (nie mylić z dopalaczami) – środki poszerzające percepcję i zwiększające koncentrację, możliwości intelektualne, wydolność i pamięć. Wyraźnie podkreślali, że ich użycie ogranicza się jedynie do zwiększenia kreatywności twórczej, a nie dla otępiającej rozrywki. „Używamy tych substancji tylko po to, by eksplorować alternatywne środki produkcji muzyki” – twierdzili.

Sam album stanowił radykalne odejście od poprzednich dokonań Coil. Wielką inspiracją dla muzyki zawartej na ***Love's Secret Domain*** były rodzaje się wówczas nurty rave/ambient techno/acid house. I na odwrót – płyta stała się jedną z kluczowych pozycji dla gatunku, choć dziś już nieco zapomnianą i chyba nadal nienależycie cenioną (warto też pamiętać o zbiorze odrzutów i wersji demo z tego okresu pt. ***Stolen & Contaminated Songs***). Jest tak być może dlatego, że nie jest to krążek stricte taneczny. W słowach samego Christophersona: „Nie powiedziałbym, że ma atmosferę zabawy, ale jest bardziej pozytywny [od poprzednich]”. Rzeczywiście – **LSD** to bodaj „najłżejsza”, choć niepozbawiona mroczniejszych momentów, płyta w dyskografii Coil. Również najbardziej

przystępna; w utworze ***Titan Arch*** pojawił się nawet Marc Almond z synth-popowego duetu Soft Cell. Później Balance i Christopherson jeszcze nie raz będą zmieniać tory poszukiwań i realizować własne, unikalne wizje, niemal nieustannie będąc nie tyle o krok przed innymi, co wykonując skok w bok. Najdalej, jak to możliwe.

Pomimo przywołanego na początku, deklarowanego przez liderów Coil dyletanctwa w kwestiach technicznych, Balance i Christopherson przywiązywali dużą wagę do produkcji, aranżacji i wykorzystywania technologicznych nowinek. Szczególnym zainteresowaniem duetu cieszyły się syntezatory modularne, czyli takie, którego moduły można łączyć w dowolnej kolejności, co umożliwia nie tylko zmianę parametrów poszczególnych elementów, ale wręcz zmianę architektury instrumentu. Coil – jako jeden z niewielu zespołów w historii – został dopuszczony do użycia syntezatora ANS, instrumentu



John Balance w latach 80.

fotoelektronicznego, który pozwala na stworzenie dźwięku na podstawie graficznego obrazu fali dźwiękowej. Jedyny egzemplarz ANS został skonstruowany przez rosyjskiego inżyniera Jewgienija Murzina i znajduje się w moskiewskim Centrum Teremina. Liderzy Coil również eksperymentowali ze sprzętem – zanim w Wielkiej Brytanii ukazał się pierwszy sampler (początek lat 80. ubiegłego wieku), Christopherson używał domowej roboty samplera złożonego z keyboardu, który uruchamiał sześć odtwarzaczy kasetowych. Swego rodzaju „instrumentem” jest też ELpH. To słowo, którym Balance i Christopherson określali swoje instrumentarium i sprzęt studyjny, traktując je jako kolejnego członka zespołu. Dźwięki ELpH powstawały w wyniku improwizacji, błędów i pomyłek, gdy aparatura wymyka się spod kontroli.

Późniejsze dokonania Balance’a i Christophersona – realizowane pod różnymi szyldami, takimi jak Black Light District, ELpH (względnie Coil vs ELpH lub ELpH vs Coil) i Time Machines – były coraz bardziej eksperymentalne i nieprzystępne. Wydany w 1995 roku album **Worship The Glitch** nie zawiera nawet jednego fragmentu muzyki, którą można by uznać za tradycyjną piosenkę. Z kolei młodszy o trzy lata **Time Machines** to już pokaz całkowitej bezkompromisowości: cztery potężne utwory (najkrótszy trwa 10 minut, najdłuższy – prawie pół godziny) oparte na hipnotycznych drone’ach i z tytułami stanowiącymi chemiczne wzory środków poszerzających świadomość, takich jak psylocybina czy telepatyna (jeden ze składników ayahuaski). Niecodziennej muzyce towarzyszyły

odpowiednie wartości dodane, takie jak płyty wydawane w 99 egzemplarzach, dołączane do albumów kartki z zaschniętą krwią, rysunki Balance’a i Christophersona, a nawet sigile, czyli symbole magiczne. Magia stanowiła bowiem potężną inspirację dla zjawiska, jakim jest Coil, zwłaszcza idee Aleistera Crowleya i Austina Osmana Spare’a. Autorzy **Scatology** twierdzili, że wszystkie te zabiegi czynią ich muzykę bardziej osobistą, zaś jej nośniki stanowią okultystyczne artefakty.

Wraz z dwoma częściami **Musick To Play In The Dark** (1999 i 2000 rok), muzyka Coil znów uległa transformacji. Balance i Christopherson zaczęli łączyć elektronikę z neofolkiem, zaś ich utwory znów przybrały formę nieco bardziej tradycyjnych. Znów zaczęli koncertować – po niemal dwóch dekadach przerwy. Występy Coil są znane wśród fanów nie tylko ze względu na przebieg, ale również z powodu ich niesłychanej rzadkości. Całkowita liczba koncertów projektu wynosi zaledwie 51, a przecież mowa o grupie z dwudziestoletnim stażem. Po zaledwie czterech występach na początku lat 80., Coil zawiesił działalność koncertową aż na szesnaście lat. Na scenę Balance i Christopherson powrócili dopiero w 1999 roku w Berlinie, na dodatek z występem, którego długość nie przekroczyła 20 minut. Te, które nastąpiły w kolejnych latach, zostały zapamiętane jako surrealistyczne i nieprzewidywalne, z dużą ilością sztucznego dymu, muzykami w futrzastych strojach i kaftanach bezpieczeństwa oraz z psychodelicznymi wizualizacjami i animacjami autorstwa Christophersona (wiele z występów Coil zostało zarejestrowanych i oficjal-

nie wydanych). Z powodu alkoholizmu Balance'a (artysta nie stronił też od innych używek), koncerty przybierały czasem naprawdę dramatyczny przebieg.

Przez większość dorosłego życia Balance boleśnie zmagał się z chorobą alkoholową. Na występie podczas festiwalu All Tomorrow's Parties w 2003 roku, ktoś zapytał artystę, czy ma w swoim alkoholu choć trochę krwi (nawiązanie do utworu **Heartworms** znajdującego się na kompilacji **Foxtrot**, z której wpływy miały sfinansować kurację odwykową Balance'a), ten zaś odpowiedział, że w tej chwili nie, po czym dodał: „Mam trochę środka znieczulającego dla koni na później” (chodziło prawdopodobnie o ketaminę). Cały dialog można usłyszeć na koncertowym albumie **...And The Ambulance Died In His Arms** z 2005 roku. Jeden z uczestników gdańskiego koncertu Coil, któremu udało się dostać za kulisy, wspominał, że Balance wlewał w siebie niesamowite ilości alkoholu, zagryzając je grzybami halucynogen-

nymi. Ostatecznie jednak zabił go alkohol, gdy pewnego listopadowego wieczoru przed dziesięciu lat, pijany wypadł z balkonu swego domu (według innych źródeł spadł ze schodów). Zmarł wkrótce potem w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności. Miał 42 lata. Pochowano go nieopodal Bristolu. W ceremonii pogrzebowej brało udział około stu osób.

Oczywistą konsekwencją śmierci Balance'a był nieodwołalny koniec Coil. Pośmiertnie ukazały się jeszcze albumy, nad którymi pracę rozpoczęto przed owym feralnym listopadowym dniem – **The Ape Of Naples** (2005) i **The New Backwards** (2008) oraz kilka płyt koncertowych, reedycji i innych wydawnictw. Peter Christopherson przeprowadził się do Tajlandii, gdzie nagrywał solo i koncertował jako The Threshold HouseBoys Choir. Współpracował z rosyjskim producentem Iwanem Pawłowem (CoH) w ramach projektu Soisong, planował też wspólne sesje nagraniowe z Trentem Reznorem z Nine Inch Nails. Christopherson jednak tego nie doczekał. 25 listopada 2010 roku – sześć lat i dwanaście dni po Johnie – zmarł we śnie w swoim domu w Bangkoku. Przyczyna śmierci 55-letniego artysty nigdy nie została podana do publicznej wiadomości. Zgodnie z tradycją tajskiej odmiany buddyzmu, Christophersona skremowano, zaś prochy rozsypało w rzecę.

„Kiedy było się tak daleko przez tak długi czas, jedyne, co pozostało, to wrócić do punktu wyjścia” – John Balance.



John Balance

Maciej Kaczmarski



#metal #bohaterowie #zasłużeni

Metalowa lista zasłużonych

W Polsce nie ma żadnego **Rock and Roll Hall of Fame**, a nawet jeśli powstanie, to muzycy i działacze związani z heavy metalem nieprędko zostaną tam wpisani. Proponujemy zatem własną, mocno okrojoną listę osób, które dla polskiej muzyki ekstremalnej zrobiły najwięcej.

Adam „Nergal” Darski

Największy celebryta w polskim metalu, ale też niezaprzeczalnie jeden z najbardziej utalentowanych muzyków na świecie. Jego Behemoth od lat jest jedną z najważniejszych grup black/death metalowych na całym globie. Sukces, jaki stał się udziałem zespołu, jest nieporównywalny do osiągnięć żadnej innej polskiej grupy muzycznej. Co znaczące, Nergalowi nie przeszkodziły w tym ani białaczka, ani kontrowersje, jakie budzi krytykując religie na każdym kroku. Kiedy rodzimy showbiznes otworzył się na heavy metal, Nergal szybko odnalazł w nim swoje miejsce. Na okładkach pism plotkarskich wylądował po raz pierwszy przez romans z Dodą. Wkrótce potem został jurorem w programie **The Voice of Poland**. **Wprost** sklasyfikował go na 43. miejscu w rankingu 100 najbardziej wpływowych Polaków. Ostatnio stworzył w Warszawie barbershop **Barbarian**.



Tomasz Dziubiński

Zmarły przed czterema laty Tomasz Dziubiński na scenie metalowej udzielał się z drugiej strony kurtyny. Zaczynał jako dziennikarz, wyprodukował też kilka albumów (m.in. Acid Drinkers, Flapjack, NoNe, Tuff Enuff, Closterkeller), ale przede wszystkim dał się poznać jako świetny menedżer i organizator. Powołał do życia pierwszą polską wytwórnię, która z powodzeniem wydawała polski heavy metal – istniejącą do dziś Metal Mind. Współtworzył polską edycję „Metal Hammera”, był pomysłodawcą i głównym organizatorem festiwalu Metalmania, a poza nim zorganizował kilkadziesiąt koncertów w Polsce, w tym tak wielkich gwiazd jak AC/DC czy Metallica. Trudno powiedzieć, czy w latach 90. działał w Polsce skuteczniejszy menedżer niż Tomasz Dziubiński.



Wojciech Hoffman

Legenda heavy metalowej gitary. 59-letni muzyk znany jest przede wszystkim z występów w kultowej grupie Turbo, jednej z pierwszych polskich formacji metalowych. Zanim jednak dołączył do zespołu, występował m.in. z Haliną Frąckowiak i Orkiestrą Zbigniewa Górnego. Nagrał również dwa albumy z Czerwonymi Gitarami. Jest współautorem takich hymnów gatunku, jak *Dorośle dzieci*, *Szalony Ikar*, *Kawaleria Szatana cz I i II*, *Żołnierz fortuny*, *Kometa Halleya*, *Jaki był ten dzień*.



Wacław „Vogg” Kiełtyka

Witold „Vitek” Kiełtyka

Założony przez nastoletnich braci Kiełtyków Decapitated jest reprezentantem



drugiej fali polskich zespołów death metalowych. Obaj bracia pomimo młodego wieku dali się poznać jako świetni muzycy, dzięki czemu zespół szybko podpisał kontrakt z zagraniczną wytwórnią i stał się rozpoznawalny w Polsce i za granicą. Techniczny death metal w wykonaniu Decapitated stał się punktem odniesienia dla wielu rodzimych zespołów. Karierę Vitka zakończył tragiczny wypadek samochodowy, jakiemu zespół uległ podczas trasy na Białorusi w 2007 roku. Po śmierci brata Vogg zawiesił działalność zespołu. W tym czasie on sam występował m.in. z Renatą Przymek i Vaderem. W 2009 Decapitated triumfalnie powróciło na scenę i do dziś jest jedną ze światowych gwiazd gatunku.

Roman Kostrzewski

Dla polskiej publiczności metalowej Roman Kostrzewski jest tym, kim Ozzy Osbourne jest dla świata. Jeśli wydawało wam się, że to Nergal jest naczelnym polskim, metalowym satanistą, to jesteście w błędzie. Kostrzewski, wieloletni wokalista kultowego KAT-a, już w latach 80. w swoich tekstach epatował okultyzmem, a w 1995 roku nagrał nawet słuchowisko na podstawie „Biblii Satanistycznej” LaVeya. Z zespołem KAT zarejestrował 17 albumów, do tego nagrał trzy krążki solowe. Choć nie jest osobą powszechnie rozpoznawalną i brylującą w mediach, to jako muzyk i osobowość sceniczna cieszy się powszechnym szacunkiem.

Grzegorz Kupczyk

Długoletni wokalista Turbo, jeden z najbardziej charakterystycznych i szanowanych muzyków na polskiej scenie.



W 2012 roku jako pierwszy muzyk rockowy został odznaczony przez prezydenta Bronisława Komorowskiego i wojewodę wielkopolskiego Złotym Krzyżem Zasługi za wybitny wkład w kulturę narodową. W dyskografii ma kilkadziesiąt albumów, w tym z Turbo (śpiewał na wszystkich najważniejszych albumach grupy), CETI oraz solowych. Na koncie ma także jedno z najważniejszych tekstów w naszym heavy metalu (m.in. pisane wspólnie z Hoffmanem **Kawaleria Szatana, Kometa Halleya** czy **Sztuczne Oddychanie** i **Żołnierz Fortuny** popełnione do spółki z Bogdanem Rutkiewiczem).

Ryszard Nowak

Muzyka metalowa, jak każdy inny produkt, potrzebuje promocji. Nic nie zapewnia tak dobrej reklamy jak kontrowersje. No i przecież najlepszy PR to czarny PR – dla metalu kolor jak znalazł. W promowaniu muzyki metalowej w Polsce paradoksalnie wielkie zasługi ma Ryszard Nowak, były polityk, obecnie głównie działacz społeczny, którego podstawowym celem stało się przeciwdziałanie sektom. Nowak jednak pojęcie „sekt” rozumie na swój sposób i co chwilę atakuje środowisko rockowo-metalowe. Jako przewodniczący Ogólnopolskiego Komitetu Obrony przed Sektami próbował walczyć m.in. z Jerzym Owsakiem, ale najbardziej zaciekle wojuje z Behemothem. I to właśnie dzięki jego pozwom i akcjom, które zapoczątkowały kampanię protestacyjną, jaka odbywa się przy okazji każdego niemal wydarzenia związanego z zespołem, szersza publiczność o Behemocie tak naprawdę usłyszała. Nowak przed laty zapowiedział także



opublikowanie listy zespołów propagujących w jego mniemaniu treści satanistyczne. Wielokrotnie domagał się kar i restrykcji dla poszczególnych wykonawców, przy czym obrywało się nie tylko metalom, ale także np. Maciejowi Maleńczukowi.

Jerzy Owsiak

Oprócz zasług dla polskiej medycyny Owsiak ma też niebagatelne znaczenie dla polskiego rocka, w tym również heavy metalu. Karierę w mediach rozpoczynał od bycia gospodarzem radiowych audycji **Brum** (którego kontynuacją był prowadzony przez Kubę Wojewódzkiego magazyn o tym samym tytule), w których przeważała muzyka rockowa. W jego programach telewizyjnych również nie brakowało muzyki rockowej i metalowej, a w swoim czasie bardzo często było to jedyne źródło informacji o wykonawcach poruszających się w tych stylistykach. Przez dwa lata kierował festiwalem w Jarocinie. Oczywiście największą jego zasługą dla sceny metalowej jest promowanie zespołów na deskach Przystanku Woodstock oraz koordynowanych przez niego koncertach z okazji kolejnych finałów WOŚP. To właśnie dzięki Przystankowi na szersze wody wypłynęły takie grupy jak Hunter, Tuff Enuff czy Moonlight, ale Owsiak dawał i daje polskim fanom także możliwość zobaczenia na żywo największych tuzów metalu. Na Przystanku występowały m.in. Type O Negative, Machine Head, Volbeat, Anthrax, Heaven Shall Burn, Killing Joke, a wiemy już, że w przyszłym roku przyjedzie Black Label Society.



Marek Piekarczyk

Dumny reprezentant starej gwardii. Marek Piekarczyk, jeden z najbardziej uzdolnionych polskich wokalistów hard rockowych i heavy metalowych, pod względem umiejętności mógłby śmiało stawać w szranki z największymi tuzami gatunku. Razem z TSA nagrał kilka piosenek będących hymnami pokolenia. Od 1987 roku wcielał się w rolę Jezusa Chrystusa w polskiej adaptacji **Jesus Christ Superstar** na deskach Teatru Muzycznego w Gdyni. Spektakl reżyserował Jerzy Gruza, a obok Piekarczyka występowały w nim takie gwiazdy jak Małgorzata Ostrowska i Andrzej Pieczyński (dość powiedzieć, że w oryginalnej rolę Jezusa grał Ian Gillan z Deep Purple...). Ostatnio częściej niż na scenie wraz z TSA pojawia się w telewizji u boku m.in. Edyty Górniak i Justyny Steczkowskiej – jest jurorem w telewizyjnym show **The Voice of Poland**.



Tomasz „Titus” Pukacki

Jedna z twarzy polskiego metalu. Charyzmatyczny basista, wokalista i lider Acid Drinkers, który równie chętnie udziela się w innych projektach. Jeśli Roman Kostrzewski jest polskim Ozzyem, Titus jest polskim Lemmym. Znany jest ze swojego zamiłowania do alkoholu, papierosów i rock’n’rolowego trybu życia. Jednak na scenie emanuje profesjonalizmem. Nie dość, że jest świetnym muzykiem i współautorem kultowych płyt, to jeszcze bardzo dobrze odnajduje się w medialnym świecie. Z Acid Drinkers ma na koncie album **Infernal Connection**, uznany przez magazyn **Machina** za najlepszą polską płytę metalową. Jego dyskogra-



fia jest tak bogata, że każdy znajdzie tam coś dla siebie – Titus współpracował m.in. z Małgorzatą Ostrowską, Nagłym Atakiem Spawacza czy Golden Life, a ostatnio wyczarował dla publiczności nastoletniego geniusza gitary Igora Gwaderę. Przez fanów darzony niemal boskim kultem.

Jarosław Szubrycht

Metal ma swoich reprezentantów w mediach i choć nie prowadzą oni topowych talk-show w najlepszym czasie antenowym, to znają się na rzeczy, jak mało kto. W absolutnej czołówce (jeśli nie na samym szczycie) tabeli dziennikarzy zajmujących się gatunkiem jest Jarosław Szubrycht. Przewinął się przez mnóstwo działów muzycznych przeróżnych redakcji (m.in. Interia.pl, Onet.pl, **Machina**, **Dziennik**, **Przekrój**), do niedawna był także redaktorem naczelnym T-Mobile Music. Pracował także w MySpace. Na koncie, poza niezliczonymi publikacjami w prasie i internecie, ma także kilka interesujących książek (pierwsze na świecie biografie Slayera i Vadera, ale także np. Maryli Rodowicz) oraz... płyt. Jako wokalista udzielał się w grupach Haemorrhage, Terror oraz Lux Occulta. Z jego usług jako autora tekstów korzystała m.in. grupa Decapitated.



Sławomir i Wojciech Wiesławscy

W 1999 roku, w Białymstoku, mieście, które może bardziej kojarzyć się z disco polo niż metalem, bracia Wiesławscy otworzyli studio nagraniowe Hertz. Choć nie był pierwszym profesjonalnym ani nastawionym głównie na muzykę ekstremalną studiem, to szybko zdobył uznanie pośród muzyków



i słuchaczy. Bracia Wiesławscy od lat podchodzą do nagrań w sposób profesjonalny, dzięki czemu wypracowali sobie markę i charakterystyczne, potężne brzmienie, które pomogło kilku załogom w zrobieniu sporych karier. Nagrywali tu chyba wszyscy najwięksi polskiej sceny ekstremalnej (m.in. Vader, Hate, Behemoth, Decapitated, Vesania, Virgin Snatch, Sceptic, Dies Irae, Trauma), ale nie tylko, bo na chwilę wpadła tu też np. Pidżama Porno.

Piotr „Peter” Wiwczarek

Kolejna niezaprzeczalna gwiazda polskiej muzyki ekstremalnej, a tak naprawdę to muzyki metalowej w ogóle. Dowodzony przez niego nieprzerwanie od ponad 30 lat Vader był bodaj pierwszym polskim zespołem metalowym, któremu udało się zaistnieć poza granicami kraju. Dzięki talentowi i wytrwałości Petera Vader stał się swojego rodzaju znakiem rozpoznawczym całej sceny i wyznacznikiem drogi dla tysięcy aspirujących muzyków. Zespół Petera to też oznaka stałości – niezmiennie wypuszcza równie dobre krążki, które są ciepło przyjmowane przez słuchaczy i krytyków na całym świecie. Każdy koncert Vader zapełnia kluby na całym globie. W CV ma także ukończoną szkołę muzyczną I stopnia w klasie skrzypiec i krótką pracę jako nauczyciel biologii w jednej ze szkół. Dał się także poznać jako łowca talentów – w początkowym okresie kariery Decapitated aktywnie pomagał grupie.

Jakub Milszewski



Z poradnika młodego audiofila

Ci dziwni ludzie, którzy wydają majątek na sprzęt grający i nie do końca wiemy, co się dzieje w ich głowach, gdy słuchają muzyki. Nazywają się audiofilami. Co im się stało? Czy tacy już się urodzili? Dziwnie zamysłali się, gdy mama śpiewała im dobranockę? Dumali nad jej barwą głosu, nieświadomymi niuansami wokalnymi i czasem wybrzmiewania poszczególnych dźwięków? Raczej nie. Owszem, niektórzy mają lepszy słuch, inni gorsi – podobnie jak z innymi zmysłami. Jednak każdy z w miarę poprawnym słuchem może nauczyć się uważniej odbierać muzykę, aby czerpać z tego jeszcze więcej przyjemności. To kwestia wyboru. Chcesz spróbować?

Ale kiedy?

To bardzo ważne pytanie. Otóż, nie zawsze! Uważne słuchanie jest męczące. Daje ogromną satysfakcję, ale może szybko wyczerpać. Przyczyna jest prosta. Im więcej informacji do strawienia daje się mózgowi, tym więcej pracy musi on wykonać żeby je przeanalizować. Dlatego w większości przypadków – słuchając piosenek w głośnym autobusie lub w trakcie gotowania – warto odpalić średniej jakości radio, grające muzykę przyjemną, ambitną, ale o wyraźnym rytmie i niezbyt karkołomnej melodii. Co innego, gdy zdobędziemy czas, np. godzinę na solidny long-play, aby poświęcić się słuchaniu. Tylko słuchaniu. Robiąc w tym czasie cokolwiek

innego, tracimy ogromną część przyjemności słuchania muzyki. Należy usiąść w odpowiednim miejscu (i nie chodzi tu tylko o prawidłowe rozmieszczenie głośników w pomieszczenie, ale też o wygodę), ograniczyć odczuwanie bodźców innymi zmysłami, czyli przede wszystkim przyciemnić pomieszczenie, i... po prostu zacząć słuchać.

Tylko gdzie?

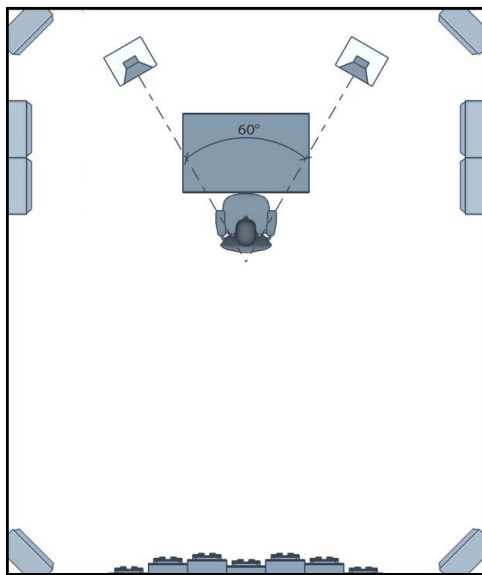
W dobrze przygotowanym pomieszczeniu. Może nam się wydawać, że muzykę gra nasz sprzęt. Tak naprawdę jednak nie słyszymy jej bezpośrednio z głośników. Gra dla nas cały pokój, w którym się znajdujemy. Dlatego trzeba zwrócić uwagę na dwie sprawy. Pierwszą



z nich jest rozmieszczenie głośników i miejsca odsłuchu. Najkorzystniejszy układ widać na rysunku. Dwa głośniki przy muzyce stereofonicznej należy rozstawić szeroko. Najlepsze miejsce do słuchania wyznaczy róg trójkąta równobocznego, który powstanie, gdy za jego podstawę uzna się odległość między kolumnami. Druga sprawa, to cała pozostała zawartość pomieszczenia. Dobrze wiemy, co się dzieje z dźwiękiem w zupełnie pustym pokoju – pogłos może być nieznośny. Można przyjąć, że dwie powierzchnie mogą być „aktywne”, tzn. zwiększą długość wybrzmiewania dźwięków. W praktyce oznacza to, że pozostają puste. Najczęściej jest to sufit i jedna ze ścian. Przy pozostałych powierzchniach powinny znajdować się różne przedmioty spełniające zadanie dyfuzorów (rozpraszaczy dźwięków). Będą to różne meble i urządzenia, a także przedmioty na półkach – najlepiej z różnych materiałów, w tym z drewna. W takich warunkach nawet średniej jakości sprzęt może zabrzmieć dużo lepiej niż dotychczas.

Na czym?

To najtrudniejsze pytanie, bo rzeczywistość na naprawdę dobry sprzęt potrzeba nie lada budżetu. Jednak taki umiarkowanie dobry, można zdobyć, mieszcząc się jeszcze w kwocie trzycyfrowej. Może być też tak, że wystarczy zainwestować w tylko jeden z elementów posiadanego już sprzętu. Najważniejsze są głośniki. Jeśli planujemy kupno sprzętu od podstaw, to ich wartość może stanowić nawet 80% całego budżetu. Pozostałe elementy to kwestie dyskusyjne. Jedni twierdzą, że



„słyszą kable”, drudzy, że niekoniecznie. Ale głośniki słyszą wszyscy. Jak brzmią te dobre? Na początku może nam się wydawać, że... zwyczajnie. Z dźwiękiem jest jak z jedzeniem. Możemy odnieść wrażenie, że coś jest lepsze tylko dlatego, że ktoś dosypał odrobinę więcej cukru, który działa na nas pobudzająco i jest pewnego rodzaju nagrodą dla naszego organizmu. W głośnikach cukrem są przesycone basy i podkreślone wysokie tony. Dzięki nim dźwięk może się wydawać atrakcyjny, ale to nie znaczy, że jest naprawdę dobry. Dźwięk powinien być zrównoważony, a skrajne tony (bardzo wysokie i bardzo niskie) powinny wychodzić na pierwszy plan tylko wówczas, gdy zostają o to poproszone. Aby prawidłowo ocenić nowy sprzęt, warto chodzić po sklepach z ulubioną płytą, którą dobrze się zna. Sprzedawca nie powinien być zdziwiony prośbą o jej odtworzenie na wstępnie wybranych kolumnach.

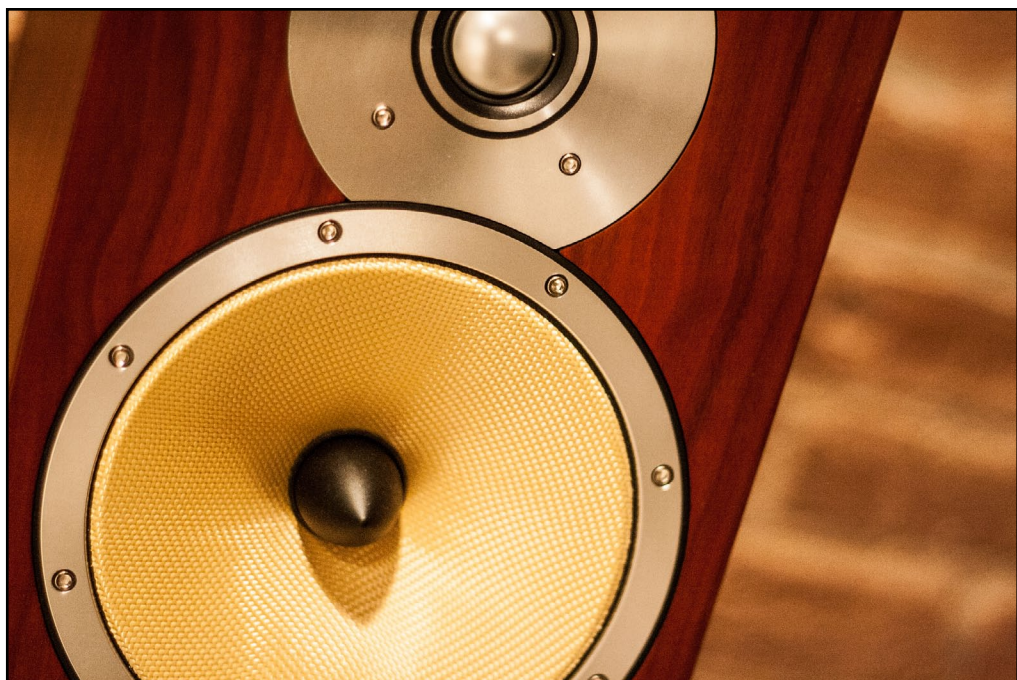


Jak słuchać?

Przede wszystkim uważnie, w skupieniu, z zaangażowaniem. Należy poświęcić dźwiękom możliwie całą swoją uwagę. Zamykając oczy, można sobie wyobrazić umiejscowienie członków zespołu. Dobre nagrania realizowane są w szczegółowym planie i można odnieść wrażenie, że np. basista stoi bardziej na lewo od gitarzysty. Można skupiać się na brzmieniu instrumentów i wokalu – nawet bardziej niż na treści i rytmie utworu, które są słyszalne bez szczególnego skupienia. Brzmienia są jak kolory obrazu (jasne, ciemne) lub jak faktura materiału (gładkie, szorstkie). Istotnym elementem muzyki jest wybrzmiewanie tonów. Jak długo jest słyszalne będzie brzmienie talerza uderzonego na koniec refrenu? Najbardziej fascynujące są jednak niuansy

i dźwięki, które odkrywamy dopiero po kilku odsłuchach. Może to być subtelne drganie instrumentu lub cała jego partia ledwo słyszalna gdzieś w tle. Na płytach muzycznych dzieje się więcej niż może nam się pozornie wydawać. Jeśli tylko chcemy, możemy spróbować, to wszystko usłyszeć.

Tadeusz Bisewski



PREMIERY *filmowe*

#thriller #szpiegowski #polityczny

reż. Patryk Vega

Służby specjalne

Specjaliści od promocji filmu Patryka Vegi postarali się, aby o jego najnowszym filmie dowiedzieli się wszyscy – zwiastuny i plakaty atakowały telewizorów, przechodniów i bywalców sal kinowych. Zapowiadano kontrowersyjną historię i portret życia służb wywiadowczych od kuchni, a jedyne co otrzymujemy, to poszatowany narracyjnie zlepek historyjek rodem z rynsztokowej prasy.

Zamysł był znakomity – likwidacja Wojskowych Służb Informacyjnych skutkuje zawiązaniem supertajnej komórki wywiadowczych służb specjalnych, do którego zwerbowane zostają trzy osoby z różnych środowisk agenturalnych. Tajemniczy mocodawcy wyznaczają grupie kolejne zadania, które polegają na – ni mniej, ni więcej – usuwaniu problematycznych postaci. Realizacja tego projektu przerosła jednak Vegę. Ambicją reżysera było zmieszczenie w dwugodzinnym seansie całego leksykonu terminologii wywiadowczej, przez co narracja pędzi jak szalona. Reżyser nie zostawia widzowi miejsca na jakąkolwiek refleksję.



się na temat oglądanych na ekranie wydarzeń.

Epizodyczna struktura fabuły i nazzapikowanie jej tajnikami pracy agencji wywiadu powoduje, że trudno jest skupić się na przyzwoitej grze aktorskiej. Olga Bołądź, Wojciech Zieliński i Janusz Chabior wykonali świetną robotę, która znika pod naporem przerostu reżyserskiej ambicji.

#biograficzne #Tomasz Kot

reż. **Łukasz Palkowski**

Bogowie

W kinie biograficznym interesujący pierwowzór portretowanej postaci to już połowa sukcesu. A kiedy na głównego bohatera wybiera się ktoś tak charyzmatycznego jak Zbigniew Religa, trzeba by naprawdę tytanicznego wysiłku, aby film się nie udał. Na szczęście Łukasz Palkowski postanowił ten wysiłek przekuć w stworzenie jednego z najlepszych biograficznych obrazów w polskim kinie.

Obrazów o Polakach wielkich, znanych czy lubianych było w ostatnich latach sporo – wystarczy wspomnieć zeszłorocznego *Wałęsę*. W odróżnieniu od obrazu Wajdy *Bogowie* są filmem znacznie mniej laurkowym i konwencjonalnym. Film Palkowskiego przedstawia Religę jako człowieka porywczego, pełnego wad i wątpliwości, ale także zdeterminowanego i wiernego swym zasadom. Tomasz Kot w roli legendarnego profesora bluzga, obraża podwładnych i upija się do nieprzytomności, ale wszystkie te niedoskonałości jego postaci tylko wzmacniają jego pozytywny odbiór. Widzimy człowieka, który jest niedo-



skonały, ale którego stać na heroiczny wyczyn.

Bogowie to film zrealizowany z niemal hollywoodzkim rozmachem, z dynamiczną narracją i brawurowym aktorstwem. Łukasz Palkowski dał nam nadzieję na to, że polskie kino głównego nurtu może prezentować poziom, z którego wszyscy możemy być dumni.

#polityczny #komediadramat

reż. Jerzy Stuhr

Obywatel

Jan Bratek to postać, która ma wszelkie dane, by zostać w polskim kinie kimś takim jak Adaś Miauczyński. Bohater **Obywatela** skrywa w sobie wszelkie lęki i tęsknoty klasy inteligenckiej, która doświadczyła traumy związanej z historycznym przełomem. Jerzy Stuhr wspaniale punktuje wszelkie przywary polskiego społeczeństwa, ukazując, że niektóre jego słabości są trwalsze niż ustroje polityczne.

Stuhr reżyseruje i gra we wspaniałym stylu, bez szarżowania i z subtelnym humorem. Do stworzenia swojej opowieści wykorzystuje zarówno najważniejsze wydarzenia z historii Polski, jak i własne doświadczenia, najczęściej dość przygnębiające. Jego bohater to właśnie tytułowy zwykły obywatel, który próbuje odnaleźć swoje miejsce w meandrach historii i społeczeństwa. Nietypowe przygody Bratka, opowiedziane w sposób nawiązujący do najlepszych dokonań czeskiej szkoły filmowej, są przyczynkiem do zjadliwej krytyki społecznej. Stuhr piętnuje zwłaszcza fanatyczną religijność i szalony patriotyzm – równie widoczne dziś, jak i 50 lat temu.



Można uważać **Obywatela** za podsumowanie pewnego okresu w życiu Jerzego Stuhra i za odważną artystyczną deklarację. Znakomity aktor i reżyser udowadnia, że trudności życiowe nie podcięły mu skrzydeł, a tylko zmobilizowały go do kolejnych zawodowych wyzwań.

#kino włoskie #biznes #klasowość

reż. **Paolo Virzi**

Kapitał ludzki

To nie jest nowy temat. To nie jest nowe podejście do tego tematu. Paolo Virzi, jeden z ciekawszych reżyserów nowego kina włoskiego, zapragnął stworzyć dzieło o tym, że w dzisiejszych czasach pieniądź znaczy więcej niż człowiek. **Kapitał ludzki** to dramat o zepsuciu bogaczy i niezdrowych aspiracjach klasy średniej.

Virzi walczy o człowieka, który w ślepej pogoni za bogactwem zatracił wszelkie cnoty. Przyczynkiem do tej publicystycznej polemiki staje się tajemniczy wypadek samochodowy, w którym śmiertelne obrażenia ponosi ojciec niezamożnej rodziny. Niczym w **Rashomonie** poznajemy tę historię z perspektywy kilkorga bohaterów, którzy mniej lub bardziej świadomie stają się częścią tej intrygi. Wydarzenia w **Kapitale ludzkim** ani przez moment nie pozwalają widzowi pomyśleć, że sprawiedliwości stanie się zadość. Winny co prawda zostanie ukarany, ale ci, którzy wyrządzili najwięcej zła, pozostaną bezkarni.

Publicystyczny ton filmu Virziego szybko zmienia się w nieznośną demagogię. Rzeczywistość w **Kapitale ludzkim** jest czarno-biała: bogaci są



źli, biedni dobrzy. W świecie, w którym moralność dla wielu pozostaje sprawą względną, taki obraz wydaje się mocno anachroniczny.

#wojenny #historyczny

reż. **David Ayer**

Furia

David Ayer nie próżnuje. Na przestrzeni dwóch lat wydał trzy mocne filmy i choć nie udało mu się utrzymać równie wysokiego poziomu wszystkich tytułów, trzeba pogratulować mu znakomitej formy. Zaledwie 46-letni reżyser wyrasta na prawdziwego specjalistę od brudnego, prawdziwie męskiego kina.

W jego filmach kobiet jest bowiem niewiele – jeżeli już znajduje dla nich miejsce, są zmaskulinizowane, jak w **Sabotażu**. **Furia** to też opowieść typowo męska. Niemal cały seans spędzamy wyłącznie z załogą tytułowego czołgu wysłanej na misję, która szybko zyskuje status samobójczej. Ekipa zabójczo skutecznej maszyny nie głaska się po głowach – przekleństwa i wyzwiska sypią się gęsto i kwieście, a po jakiegokolwiek empatii nie ma już śladu. Kilkunastoletni chłopak, który dołącza do załogi, szybko musi nauczyć się twardych reguł i zrozumieć, że dla nazistów nie ma litości.

Hollywoodzkie kino wojenne w ostatnich latach nie mogło pochwalić się szczególnymi osiągnięciami. **Furia** zmienia ten stan. Film Ayera wkrótce jednym tchem wymieniany będzie obok takich arcydzieł tego gatunku jak **Szeregowiec Ryan** czy **Helikopter w ogniu**. To obraz, w którym wojna jest taka, jak powinna – brudna, krwawa i bezlitosna.



#dramat #kryzys rodzinny

reż. Magdalena Piekorz

Zbliżenia

Tegoroczny konkurs Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni należy uznać za jeden z bardziej udanych w ostatnich latach. Oprócz recenzowanych w tym numerze **Bogów** i **Obywatela** w zestawieniu znaleźć można było też docenione wcześniej przez publiczność **Pod Mocnym Aniołem** czy **Jacka Stronga**. Nie zabrakło jednak też miejsca dla kameralnych, intymnych dramatów, takich jak właśnie **Zbliżenia** Magdaleny Piekorz.

Wszyscy znamy podobne historie – niezdrowa relacja matki i córki sabotuje jakiegokolwiek próby usamodzielnienia się młodej kobiety. Ewa Wiśniewska i Joanna Orleańska wspaniale odgrywają wszystkie odcienie tego toksycznego związku, dryfującego od miłości do nienawiści. W tę relację próbuje wkroczyć Jacek (znakomity Łukasz Simlat), jednak szybko zostaje ofiarą emocjonalnej szarpaniny dwóch kobiet. Jest cichym bohaterem, który pomimo ciągłych ciosów cierpliwie próbuje doprowadzić do ustabilizowania rodzinnej sytuacji.

Piekorz niejednokrotnie udowodniła już, że potrafi przenosić na ekran nawet najsubtelniejsze z ludzkich emocji. Tym razem sięgnęła po uczucia niezwykle intensywne, niszczycielsko działające na tych, które je w sobie noszą. Należy pogratulować pani reżyser, że potrafiła te emocje ujarzmić.



#Złota Palma #kino tureckie
reż. Nuri Bilge Ceylan

Zimowy sen

Poetyka obrazu i narracyjna asceza – to były dotychczas domeny kina znad Bosforu. Nuri Bilge Ceylan, najsłynniejszy ze współczesnych tureckich filmowców, zapragnął to zmienić. **Zimowy sen** to prawdziwa epopeja, w której bohaterowie używają słów niczym oręża. Być może za tę właśnie przewrotność jury tegorocznego festiwalu w Cannes postanowiło nagrodzić to dzieło Złotą Palmą.

Oglądanie epickiego obrazu Ceylana można porównać do lektury XIX-wiecznej powieści. Długie, przepięknie skadrowane ujęcia anatolijskich przestrzeni zastępują wielostronicowe opisy krajobrazów, a konflikty pomiędzy bohaterami są niemal namacalne. Głównym bohaterem jest aktor, który lata świetności ma dawno za sobą. Żyje w górach Kapadocji, prowadząc niewielki hotelik i spędzając czas na wspomnianiu minionych sukcesów. W hotelu mieszka razem z żoną i siostrą, które serdecznie się nie znoszą. Stwarzają jednak pozory, które stanowią esencję relacji tej nietypowej rodziny. Mąż udaje, że przejmując się losem towarzyszek życia, żona pozoruje kulturalne relacje. Bańka jednak pęka – główny bohater zostanie zmuszony do konfrontacji z każdą z bliskich mu kobiet.

W niemal trzygodzinnym dramacie Ceylan niczym pod mikroskopem przygląda się wzajemnemu rozzarowaniu bohaterów. Choć trudno z **Zimowego snu** wydobyć coś pozytywnego, ten film może być doskonałą lekcją tego, jakich postaw należy w życiu się wystrzegać.

Opracował: Dawid Myśliwiec



Skala ocen:

God must have been a fuckin' genius

I just met a wonderful new man.
He's fictional but you can't have everything

My mum always said,
life is like a box of chocolates

I love you, honey bunny!

May the Force be with you

Too weird to live, and too rare to die

Coco Jumbo i do przodu

Huston, we've got a problem

**

Ja tu widzę niezły burdel

*

Albercik! Wychodzimy!

Kompromis nauki i wyobraźni

O **Interstellar** głośno było już od kilku lat – szczególnie wówczas, gdy rozpoczęty przez Stevena Spielberga projekt przejął Christopher Nolan, przez wielu uznawany za jednego ze spadkobierców mistrza. To, co prawdopodobnie byłoby idealistycznym blockbusterem, przerodziło się w futurystyczny traktat filozoficzny, który usilnie porównuje się z dokonaniem Kubricka i Malicka.



Interstellar

reż. Christopher Nolan

I rzeczywiście Nolan przyznaje się do inspiracji **2001: Odyseją kosmiczną**, jednak nie mogło być inaczej – wszak jest to jedno z najważniejszych dzieł gatunku science-fiction. Podobnie jak Kubrick, twórca **Incepcji** używa futurystyczno-technologicznej konwencji do rozprawy na temat kondycji gatunku ludzkiego. Rzeczywistość **Interstellar** to bowiem świat, w którym Ziemia wyprasza nas ze swej gościnnej dotąd powierzchni. Kataklizmy ekologiczne i brak żywności skłaniających w podziemiu naukowców NASA do przygotowania wyprawy do innego wymiaru. Szansę na taką podróż zrodziło pojawienie się w pobliżu Saturna tajemniczego portalu, który umożliwia poszukiwanie nadającej się do zamieszkania planety w alternatywnych galaktykach.

Wszystko to brzmi nieprawdopodobnie, jednak analogiczne i – co ważniejsze – dopuszczalne przez naukę scenariusze fizycy analizują już od

lat. Nolan niczym cierpliwy nauczyciel wprowadza widza w szczegóły międzygwiazdnej wyprawy, dzięki czemu zachowuje jasność wywodu. Z pewnością w wiarygodności **Interstellar** jest duża zasługa Kipa Thorne’a, uznanego fizyka teoretycznego i astrofizyka, który czuwał nad zachowaniem naukowego autentyzmu. Udało się to połowicznie. W mniej więcej dwóch trzecich najnowsze dzieło Nolana jest obezwładniająco zachwycające i skłania do głębokiej refleksji nad przyszłością ludzkości. Pozostała część wygląda jednak jak produkt wybujałej wyobraźni reżysera, który w trakcie prac nad filmem zdecydował się porzucić naukową rzeczowość i puścił wodze fantazji.

To niewielkie rozczarowanie niekonsekwencją Nolana nie może jednak przysłonić faktu, że **Interstellar** jest widowiskiem o epickim wręcz rozmachu. Kosmiczny bezkres zaprojektowany został z największą precyzją, a dech zapiera zwłaszcza wizualizacja gigan-

tycznej czarnej dziury. Nie tylko wizja Wszechświata robi wrażenie – bardzo sugestywnie wypadła też wizualizacja apokaliptycznych warunków życia na Ziemi. Wszystko doskonale uzupełnia muzyka Hansa Zimmera, który na wyraźną prośbę reżysera porzucił swój charakterystyczny styl i stworzył subtelny, esencjonalny soundtrack. Warstwa audiowizualna dzieła Nolana wzbudza zachwyt, przy którym nawet największe fabularne nieścisłości przestają mieć znaczenie.

Interstellar nie zrewolucjonizuje gatunku science-fiction, nie zmieni też sposobu, w jaki patrzymy na kino. Jednak dzięki ogromnemu wysiłkowi całej ekipy jest niezapomnianym spektaklem, który dopiero po kilku seansach odkrywa przed widzem wszystkie swoje tajemnice. Stanowi też dowód na to, że reżyserskie ambicje Christophera Nolana są nieograniczone.

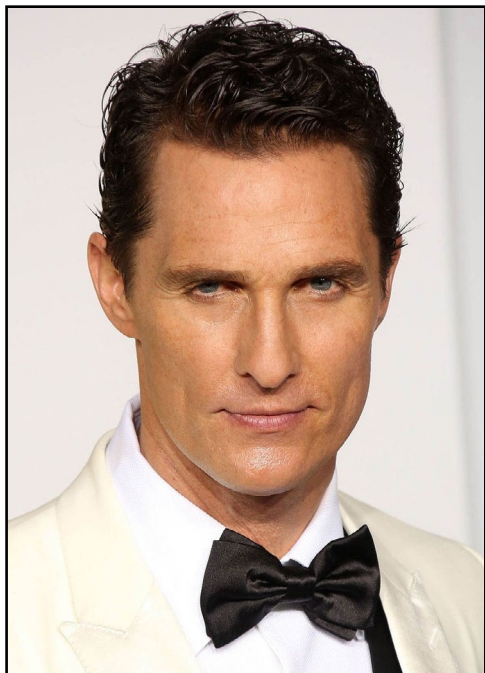
Dawid Myśliwiec



Matthew McConaughey

Surfer, który dorósł

Największą zmurą dla aktora jest mityczne zaszufladkowanie. Zjawisko, które zachodzi, gdy zbyt mocno przylgnie do artysty określony wizerunek lub gdy jego fizys predysponuje go do odgrywania określonego typu ról. Ci, którzy wkraczają w świat filmu z dużymi ambicjami, jak ognia unikają czeluści szuflad stereotypów. Pewien Teksańczyk obdarzony blond lokami i uśmiechem za milion dolarów przez wiele lat żył z etykietą „złotowłosego surfera”, chłopaka uosabiającego wolność amerykańskiego ducha i radość z życia. Jemu jednak, jak mało komu, udało się zerwać z mało poważną etykietką i zdobyć uznanie zarezerwowane dla wielkich aktorów. A na imię mu Matthew McConaughey.



Matthew McConaughey

Trudno powiedzieć jak wielu widzów do dziś, słysząc to nazwisko, wciąż przypomina sobie jedynie zawadiacki uśmiech i odsłonięty tors urodzonego w niewielkim Uvalde aktora. Rzeczywiście – filmy w rodzaju **Powiedz tak** czy **Miłość na zamówienie** przez wiele lat stanowiły główny rodzaj jego kinowej działalności. Gdy jakkolwiek reżyser wpadał na pomysł nakręcenia komedii romantycznej, jego pierwszym wyborem zawsze był Matthew. On sam zresztą w wywiadach bronił tego typu filmów, przyznając, że uwielbia grać w historiach miłosnych i nie wyklucza powrotu do tej konwencji. Na razie jednak jego aktorski entourage przeszedł całkowitą metamorfozę – szeroko uśmiechniętego przystojniaka zastąpił tajemniczy, mroczny samotnik.

Przez wiele lat szukał swojej ekranowej tożsamości. Debiutował u Richarda Linklatera w **Uczniowskiej balandze** w 1993 r., ale przez dwa kolejne lata nie udało mu się zdobyć roli, dzięki której zaistniałby w świadomości widzów. Prawdziwym przełomem był **Czas zabijania** Joela Schumachera. To dzięki tej roli zarobił pierwsze większe pieniądze, choć z dzisiejszej perspektywy 250 tys. dolarów gaży wydaje się kiepskim zarętem. Obraz, w którym zagrał wraz z Samuelem L. Jacksonem i Sandrą Bullock, był pierwszym finansowym sukcesem w jego filmografii i przyniósł mu dużą popularność. „Gdybyś dzień przed premierą **Czasu zabijania** pokazał moje zdjęcie 100 osobom, 99 z nich nie wiedziałyby, kim jestem, a tylko jedna mogłaby mnie kojarzyć. Po premierze sytuacja całkowicie się odwróciła. Gdy szedłem ulicą w Los Angeles i wszyscy na mnie patrzyli, sprawdzałem, czy mam zapięty rozporek” – tak McConaughey wspomina początki swej popularności.

Zaczął więc Matthew od roli zupełnie odmiennej od tych, z których dziś kojarzy go większość widzów. Druga połowa lat 90. była już serią konsekwentnych prób wkroczenia do grona gwiazd Hollywood – po rolach u Roberta Zemeckisa (**Kontakt**), Stevena Spielberga (**Amistad**) i Rona Howarda (**Ed TV**) o anonimowości aktora nie



Czas zabijania

było już mowy, choć do gwiazdorskiej pierwszej ligi wciąż było mu daleko. Ostatni z wymienionych filmów jest w jego dorobku istotny z innego powodu – to właśnie na jego planie po raz pierwszy współpracował z Woodym Harrelsonem, z którym kilkanaście lat później stworzył znakomity duet w serialu **True Detective**. McConaughey wszedł w XXI w. jako aktorski średniak, a żadna z wybieranych przez niego ról nie była w stanie tego statusu zmienić. Pierwsza dekada tego stulecia upłynęła mu na występowaniu w niewielkich produkcjach, które z rzadka zarabiały więcej niż sto milionów dolarów. To właśnie wówczas komedie romantyczne stały się jego specjalnością – na ekranie uganiał się m.in. za Kate Hudson (dwukrotnie), Penelope Cruz, Jennifer Lopez i Sarah Jessiką Parker. Rozkochiwał sobie kolejne tysiące kobiet, lecz nie krytyków, którzy nieczęsto doceniają ten rodzaj filmowej rozrywki. W 2008 r. wszedł w polemikę ze swoim surfersko-uwodzicielskim

wizerunkiem produkcją **Surfer, Dude**, w którym wcielił się w tytułowego bohatera, przechodzącego kryzys osobowości. Dziś można tę rolę uznać za symbol jego przemiany, bowiem trzy lata później rozpoczął się całkowicie nowy rozdział w zawodowym życiu Matthew.

W 2011 r. ponownie zagrał adwokata w **Prawniku z Lincolna**, rozpoczynając znakomitą passę, która trwa do dziś. Widzowie i krytycy przecierali oczy ze zdumienia, widząc McConaughę w rolach tajemniczych mężczyzn z mroczną przeszłością – płatnych zabójców, zbiegów i striptizerów. W świetnym **Wilku z Wall Street** kilkunastuminutowym epizodem przyćmił ponad dwugodzinny wysiłek Leonardo DiCaprio, a miliony ludzi na świecie oglądało kolejne odcinki **True Detective** głównie dla niego. Wreszcie przyszedł też upragniony sukces kasowy – długo oczekiwany **Interstellar** Christophera Nolana to największe filmowe przedsięwzięcie Matthew,

które zbiera obecnie żniwa w światowym box office. Największe wrażenie robi jednak fakt, że ten ogromny finansowy sukces ma miejsce w niecały rok od momentu, kiedy Teksańczyka uhonorowano Oscarem za brawurową kreację w kameralnym dramacie biograficznym **Witaj w klubie**. Wspaniała seria McConaughę trwa w najlepsze i trudno wyobrazić sobie, by miało się to zmienić w najbliższym czasie. Tym bardziej, że aktor już dawno opuścił ciasną szufladę przeznaczoną dla aktorów komedii romantycznych.

W czym tkwi sekret aktora o śnieżnobiałym uzębieniu? Trudno jednoznacznie określić powód jego zaskakującej metamorfozy, jednak trudno pominąć fakt jego pochodzenia. Jest dziś bez wątpienia najstojniejszym żyjącym Teksańczykiem, a jako południowiec charakteryzuje się mocnym akcentem i specyficzną, surową charyzmą. Każdy, kto choć raz słyszał głos Matthew, rozpozna osobliwe przeciąganie wyrazów i charaktery-

stycznie ochrypy tembr. Wokalne właściwości aktora i jego prezencja predysponują go do ról bohaterów skomplikowanych i nieoczywistych, jak Rust Cohle z **True Detective**. Konserwatywne, południowe wychowanie sprawia z kolei, że z łatwością wciela się także w szlachetnych idealistów, takich jak główny bohater **Interstellar**. Niewie-



Surfer, Dude



True Detective



Wilk z Wall Street

Iu aktorów może pochwalić się taką wszechstronnością.

W przyszłym roku McConaughey wcieli się w niedoszłego samobójcę w najnowszym dziele Gusa van Santa, dopisując kolejne głośne nazwisko do listy reżyserów, którzy zaprosili go do współpracy. W swoim zawodzie zdobył już praktycznie wszystko – szacunek widzów, uznanie krytyków i ogromne

pieniądze. Ma na koncie Oscara, Złoty Glob i sukces komercyjny, którego ostateczny rozmiar będziemy mogli ocenić dopiero za kilka tygodni. Czy niegdysiejszy surfer i podrywacz odnajdzie wyzwania, które pozwolą mu wciąż się rozwijać? Jego chwila trwa – byłby głupcem, gdyby pozwolił jej skończyć się już dziś.

Dawid Myśliwiec



Jerzy Stuhr

Całe życie byłem antybohaterem

Człowiek-legenda, człowiek-orkiestra. Od czterdziestu lat gra, od dwudziestu – pisze i reżyseruje na niedoścignionym dla wielu poziomie. W polskiej kinematografii jest prawdziwą instytucją. Z równie znakomitym efektem bawi, wzrusza i skłania do refleksji. **Jerzy Stuhr** to osobistość, jakich w rodzimej kulturze zostało niewiele. Przy okazji wrocławskiego Festiwalu Aktorstwa Filmowego rozmawiał z nami o Polakach, Czechach i własnej wizji kina.



Jerzy Stuhr

Bohater Obywatela jest bardziej patriotą czy egoistą?

On na pewno stara się być lojalnym obywatelem. Bo ta opowieść jest o tym, że tamten system, w którym moje pokolenie dorastało, najbardziej sobie cenił lojalność. Jak byłeś lojalny, miałeś dobrze. Mogłeś przeżyć, miałeś gdzie mieszkać. Mówię tu o zwykłym obywatelu – nie o herosach, buntownikach, którzy chcieli zmieniać historię. Mam na myśli 98% tego narodu. Lojalnym być – wtedy uda ci się przeżyć.

To wtedy, w tamtym systemie. A po przełomie?

On z tą lojalnością został. I dlatego dzisiaj, gdy od tego zwykłego obywatela wymaga się inicjatywy, odwagi,



Na planie filmu *Obywatel*

podejmowania decyzji – on tego nie umie. O tym trochę jest podskórna opowieść. Poza tym uważam, że Jan Bratek jest bohaterem, który ma kościć moralny. On wyjdzie z wykładu pt. **Jak rozpoznać Żyda**. Lojalnie zobowiąże się do nauczania klasy uczniów pieśni patriotycznej, wiedząc przecież, jaka to klasa. On stanie przed oburzonymi klientami biura podróży **Lotos**, weźmie odpowiedzialność i oberwie jajkiem. A dużo, dużo wcześniej, jako mały chłopiec, nie przyzna, że to nie on krzyknął „Ty Żydzie!”, lecz weźmie to na siebie. Nawet wtedy, gdy ojciec powie: „Jasiek, lanie w domu!”.

Czy wobec tego Obywatel jest wyrazem Pańskiego zrezygnowania postawami obywatelskimi wtedy i teraz?

Nie, raczej nie. Staralem się po prostu przyjrzeć niektórym naszym słabszym

stronom – w ramach postaw obywatelskich oczywiście.

Tych słabszych stron jest całe mnóstwo, by nie powiedzieć, że mocnych stron nie mamy wcale. Czy w Pańskim filmie można odnaleźć jakieś pozytywwy?

Dla mnie pozytywne jest to – a dowiaduję się tego teraz, podczas pokazów i rozmów poseansowych – że widzów to bardziej śmieszy niż obraża. Widownia daje mi wyraźny sygnał co do tego. Jeszcze kilku krytyków, kilku pravicowców negatywnie ocenia **Obywatela**, ale większość ludzi podchodzi do filmu i jego bohatera z sympatią. Za kilka tygodni będę mówił o tym Panu zupełnie pewnym głosem. Ludzie idą do kina i przyjmują ten film z sympatią.

Spotkał się Pan z jakąś szczególnie entuzjastycznym przejawem sympatii widzów?



Po seansie w ramach wrocławskiego Festiwalu Aktorstwa Filmowego zaczęła mnie pewna Pani, wyściskała mnie i powiedziała: „Panie Jerzy, to jest moje życie!”. Pomyślałem sobie: no tak, musiałem trafić ze swoją historią do tej pani. I do innych widzów, tych zwyczajnych ludzi.

Czyli nie herosi, o których wspomniał Pan wcześniej, ale zwykli śmiertelnicy?

Tak mnie nauczili, że zawsze, całe życie byłem tym antybohaterem. I w filmach Kieślowskiego, i Falka, i wielu innych. To nie Daniel Olbrychski, szlachetny przywódca. Ja byłem zawsze tym, który człapie gdzieś niepostrzeżenie po chodnikach prowincjonalnych miast. I tak zostało.

Pańscy antybohaterowie przypominają nieco postacie z filmów Marka Koterskiego.

Pewnie tak, zwłaszcza, że ja ciągle podciągam tych swoich antybohaterów do klasy inteligentkiej. Może nie zawsze i nie całkiem, ale jednak bliżej im do inteligencji, a tu już blisko do Pana Koterskiego. Z tym że bohaterowie jego filmów są bardziej histeryczni. Jan Bratek inaczej – jest spolegliwy, spokojny, nieco absurdalny.

Filmy Marka Koterskiego grają też na bardziej ekstremalnych emocjach – raz są niemożliwie śmieszne, innym razem uderzają w depresyjny ton.

Tak, choć ta formuła, w której bohater jednocześnie przeraża i śmieszy, jest istotnie podobna. W tym rzeczywiście jesteśmy sobie bliscy. Z tym że tam to

już jest histeria. Albo mniej pejoratywnie – neuroza.

Formuła podobna, ale bohaterowi bliżej do postaci z czeskiej szkoły filmowej.

Oj tak, bardzo. Ja strasznie Czechom zazdroszczę tej łatwości opowiadania i kreowania postaci. Jak ja te filmy oglądałem! Starłem się analizować ich konstrukcję, sposób budowania narracji. Na przykład w **Obywatelu** po raz pierwszy chyba udało mi się trochę nawiązać do pewnego zabiegu, który Czesi stosują. Oni tak konstruują sceny, że plotą w nich, plotą, plotą, w międzyczasie kamera odjeżdża coraz bardziej, w końcu bohaterów już nawet nie widać i właśnie wtedy pada najśmieszniejsza kwestia. Na wylocie! To jest sprytnie wymyślone. I w **Obywatelu** też kilka razy to zastosowałem. Pilnowałem tego bardzo. Czesi bardzo mi imponują tym zwróceniem humoru na siebie.

Potrafią śmiać się z siebie lepiej niż Polacy?

Kiedyś rozmawiałem z kolegami filmowcami z Czech na ten temat. Powiedzieli: „Panie Jerzy, to ze strachu. Strachu małego narodu”. Jako niewielkie państwo wciśnięte pomiędzy mocarstwa noszą w sobie od pokoleń tyle strachu, że właśnie w taki sposób dają mu upust – poprzez śmianie się z siebie. No i tam jest więcej protestantów niż katolików, więc to też ma znaczenie.

Wyobraża Pan sobie nakręcenie podobnego filmu dziesięć, dwadzieścia lat temu? Jeszcze przed różnymi zawirowaniami, które dotknęły Pańską rodzinę?



Na planie filmu *Obywatel*

Wie Pan, ja chyba nie byłbym wtedy gotowy. Trudno mi sobie to wyobrazić, bo chyba nie byłbym gotowy do takiego kompleksowego, przekrojowego potraktowania tej historii. Ale gdzieś we mnie od młodości te tematy wzrastały. Nawet pan Pietrasik z **Polityki** uzmysłowił mi, że jedna ze scen w **Obywatelu** to pendant do opowiadania Sławomira Mrożka **Moniza Clavier**. To tam bohater w Wenecji pokazuje turystom spróchniałe zęby, mówiąc **To za wolność!** To jest ten schemat myślenia, który starałem się pokazać.

Ważne są patriotyczne gesty, nawet te udawane.

I zawsze trzeba być martyrologiem! Pobitym, zmasakrowanym – tylko wtedy, najwyraźniej, można mianować się patriotą.

Zostawmy tematy patriotyczne, ale pozostaniemy w kręgu tematów narodowych. Gdzie widzi Pan siebie w polskim kinie?

Z boku. Nagroda Specjalna – oto synonim mojej pozycji. Ja zawsze chciałem być z boku. To jest moja przekora jeszcze ze studenckich czasów – żeby nie dać się wtłoczyć w żadne nurty, rąbać swój chodnik z boczku. I Kieślowski mnie tego uczył, bo on też zawsze był z boku. Był nieporównywalny z niczym – i ja się tego od niego nauczyłem i zawsze pilnowałem, by tego przestrzegać. Zwłaszcza formalnie. Dla mnie zawsze najważniejsza była forma i jej oryginalność. Takie np. **Historie miłosne** to było – i chyba nadal jest – w polskim kinie coś innego, bo nikt chyba nie zrobił u nas filmu, w który czterech bohaterów po prostu snułoby się po ekranie. Albo **Duże zwierzę**, w którym facet wyprowadza na ulicę wielbłąda

i opowiada wszystkim, jakie to ma miłe zwierzątko domowe.

Znalezienie odpowiedniej formy to najważniejsze zadanie przy pracy nad filmem?

To mi zawsze zajmuje najwięcej czasu. Wymyślenie tematu zajmuje trzy minuty. Ale jak? Jak go obrobić? To jest kłopot.

Raczej nie zgodnie z konwencjami kina gatunkowego, bo wspominał Pan niejednokrotnie o tym, że to zabawa nie dla Pana.

Oj nie, nie umiałbym. Na tym trzeba się znać, to trzeba umieć, analizować filmy. Machulski to widział ich chyba z 50 tysięcy. **Żqdło** analizował, proszę Pana, przez trzy lata, rozbierając ten film na czynniki pierwsze. Dlatego jeżeli ja mogę funkcjonować w środowisku filmowym, jeżeli mogę uczyć młodych reżyserów, to tylko kina autorskiego. Autorskie kino – ja chcę wyrazić siebie! Na szczęście uczę w Katowicach, na Wydziale Radia i Telewizji, a tam wszyscy chcą być autorami. Jeszcze się nie

zdarzyło, by któryś z moich studentów chciał wyreżyserować kryminał. Sami autorzy, proszę Pana.

A gdyby Pański syn chciał, tak jak Pan, za dwadzieścia lat opowiedzieć o swoim życiu w tym kraju, to o czym mógłby opowiedzieć?

To jest trudne pytanie. Wie Pan, on ma swoje problemy. Dziś np. wysłał mi SMS-a: „Tata, dostałem pozwolenie na budowę!” Dwa lata na nie czekał. Może o tym mógłby opowiedzieć? Albo o tym, jak niektórzy ludzie chcieli go wyrzucić z kraju, krzycząc „Spieprzaj do Izraela”? O tym mógłby opowiedzieć, o tym co jego przeorało. On już nie jest tym samym radosnym, ufnym młodym człowiekiem. Nagle dowiedział się o życiu i ludziach rzeczy, o których nie miał pojęcia. Na pewno znalazłby wiele tematów, o których mógłby opowiedzieć. Historii trudnych, które mimo wszystko go wzbogaciły. Chyba nawet chciałbym, żeby poszedł w tę stronę.

Rozmawiał: Dawid Myśliwiec



Wyobraźnio, krocz za mną

Nawet jeśli **Latający cyrk Monty Pythona** oglądałeś tylko raz w życiu i żaden ze skeczy nie zapadł Ci w pamięć, z całą pewnością zapamiętałeś wyjątkowe animacje, którymi owe scenki były przeplecione. Absurdalne, surrealistyczne, do dziś są jednymi z najbardziej rozpoznawalnych przykładów animacji techniką wycinankową. Stoi za nimi **Terence Vance Gilliam**, który nie tylko rysował dla najsłynniejszego brytyjskiego kabaretu, ale był także jednym ze scenarzystów, co – biorąc pod uwagę jego amerykańskie pochodzenie – jest nie lada osiągnięciem.

Rozpad popularnej grupy mógłby oznaczać koniec kariery jej członków, gdy tymczasem Gilliam i spółka postanowili dalej się rozwijać. Najbardziej aktywnym i rozpoznawalnym Pythonem był i wciąż jest John Cleese, ale to scenarzystę i animatora grupy należy uznać za tego, który osiągnął w swym fachu największy sukces. Jeszcze w czasach aktywności zespołu zajął fotel reżysera, realizując **Monty Pythona i Świętego Graala**, by w kolejnych latach we współpracy z zaprzyjaźnionymi komikami nakręcić kolejne filmy. **Jabberwocky** i **Bandy ci czasu** to tytuły, które fani brytyjskiej grupy otaczają kultem podobnym do tego, jaki zyskały oryginalne dzieła Monty Pythona. Oba weszły też do kanonu filmów fantasy. Od pierwszych reżyserskich projektów Terry konsekwentnie budował swój fantasmagoryczny styl, który z rzadka



Terence Gilliam

porzucał dla bardziej konwencjonalnych opowieści.

Prawdziwym przełomem w jego karierze stało się mroczne i dystopijne **Brazil** z 1985 r. Obraz ten to prawdziwe **spécialité de la maison**. Gilliam przedstawia w nim wizję świata ekstremalnie biurokratyzowanego, ogarniętego znieczulicą i uzależnionego od maszyn. Tu najwyraźniej zarysowuje się jeden z ulubionych motywów reżysera – władza totalitarna, ze wszystkimi jej ułomnościami, niebezpieczeństwami i destrukcyjnym wpływem na jednostkę. Wątek ten powróci jeszcze niejednokrotnie w twórczości Terry'ego – najświeższym tego przykładem jest **Teoria wszystkiego** z Christophem Waltzem, goszcząca niedawno na polskich ekranach. **Brazil** to dzieło ważne w filmografii Gilliama także z innego

powodu – to właśnie tutaj wizualny styl reżysera ukształtował się ostatecznie, stając się doskonale rozpoznawalnym roztworem ciała, maszyny i brudu.

Urodzony w Minneapolis reżyser poszukuje tożsamości, czemu często poświęcają się jego bohaterowie. Nierzadko zagubieni, pozbawieni osobowości, szukają odpowiedzi na dręczące ich pytania, poruszając się w świecie zwalczającym przejawy indywidualizmu. Poszukiwania te przyjmują różną postać, bo też różny jest cel, jaki chcą osiągnąć. Tytułowy doktor w **Parnasusie** testuje wyobraźnię widzów jego spektaklu, próbując dowieść swojej wyższości nad Szatanem. W **Las Vegas Parano**, adaptacji powieści Huntera S. Thompsona, reporter Raoul Duke podróżuje na obrzeża swej psychicznej wytrzymałości, eksperymentując



Teoria wszystkiego





Bandyci czasu

z coraz bardziej niebezpiecznymi środkami odurzającymi. **The Fisher King** to opowieść o dwóch bohaterach, z których jeden poszukuje odkupienia, drugi – ulgi w cierpieniu. Postaci kreowane bądź przenoszone na ekran przez Gilliana to ludzie skomplikowani, zaburzeni, wytrąceni z równowagi życiowej przez gwałtowne przeżycie lub dojmujący brak.

Bo świat w filmach twórcy **Bandytów czasu** nie jest miejscem, w którym osiąga się spełnienie. To raczej wieczny poligon, na którym toczy się walkę z nierównym przeciwnikiem – rządem, wirusem, śmiercią, otępieniem. Mimo to rzeczywistość Gilliana rzadko bywa monochromatyczna. Często zamieszkują ją barwni, ekstrawertyczni bohaterowie, personifikujący chaos i sprzeciw wobec wtłaczania jednostek w społeczne funkcje. Naturalizowany Brytyjczyk (w 1968 r. otrzymał obywatelstwo Zjednoczonego Królestwa,

a w 2006 r. zrzekł się amerykańskiego) swoim artystycznym credo uczynił wolność wyobraźni, dlatego pozwala swoim bohaterom odpływać w objęcia często niepokojących iluzji. W **Krainie traw** dziecięca bohaterka ignoruje obecną wokół niej śmierć, gdyż zbyt często zaniedbywana była przez najbliższych. Nauczyła się więc tworzyć własną rzeczywistość, w której towarzyszą jej intrygujące postacie. Nieprzypadkowo Gilliam sięgnął także po baśniowy wszechświat braci Grimm, czyniąc ich bohaterami jednego ze swych filmów. Są w nim oszustami, którzy podróżują po okupowanych przez Francję XIX-wiecznych Niemczech, zwalczając stworzone przez nich imitacje potworów. Mierzą się więc z przejawami własnej wyobraźni, największymi lękami i fobiami. Dzieła jedyne go amerykańskiego Pythona są terapiami dla ich bohaterów.



Parnassus

Stylistyczna konsekwencja Terry'ego to nie jedyny przejaw jego twórczej wytrwałości. Będąc wiernym swej artystycznej wizji, często zaprasza do współpracy tych, z którymi udało mu się osiągnąć sukces. Po artystycznym sukcesie ***Brazil*** jeszcze dwukrotnie – przy ***Przygodach barona Munchausena*** i ***Parnassusie*** – tworzył scenariusz z Charlesem McKeownem, a w obsadzie jego filmów powracają Jonathan Pryce, Jim Broadbent i Jeff Bridges.

Choć na początku swojej reżyserskiej drogi często korzystał z usług swych Monty-przyjaciół, dowiódł, iż marka kabaretowej supergrupy nie jest mu potrzebna do osiągnięcia sukcesu. Dziś to nazwisko Gilliam stało się samodzielną marką i mimo że nie należy ona do reżyserskiej elity, niewielu jest na świecie filmowców, którzy są otoczeni tak wielkim kultem.

Dawid Mysliwiec

PREMIERY

książkowe

#powieść #thriller

Christer Mjåset

Białe kruki

Akcja książki rozgrywa się w szpitalu na oddziale neurochirurgii. Troje zatrudnionych na umowę czasową lekarzy rywalizuje o to, kto zostanie na stałe. Z początku szanse mają wszyscy, ale po redukcji etatów młodzi adepci muszą wykazać się jeszcze większym zaangażowaniem, opanowaniem oraz spełnić pozaregulaminowe wymagania, które niewiele mają wspólnego z etyką.

Chociaż powieść ukazała się w serii **Mroczny zaulek**, nie jest kryminałem. Nie znaczy to, że nie jest mroczna. Autor umiejętnie buduje postaci oraz stopniuje napięcie. Rozgrywka o zatrudnienie w szpitalu przyjmuje tu cechy walki na śmierć i życie. Nieetyczna rywalizacja o stałą posadę, w jaką bezkrytycznie dają wciągnąć się kandydaci, staje się celem nadrzędnym. Prawi ludzie naciągają swoje zasady i zapominają o wyznawanych wartościach. Książka jest po części wciągającą powieścią obyczajową o życiu szpitala, a po części krytyką systemu.

Możecie spodziewać się po tej książce dużego ładunku emocji, szybkiej akcji i wielu zaskoczeń. Intryguje



nieoklepaną fabułą i sprawnym opisem tego, jak uczciwi ludzie zmieniają się w gotowych na wszystko uczestników wyścigu szczurów.

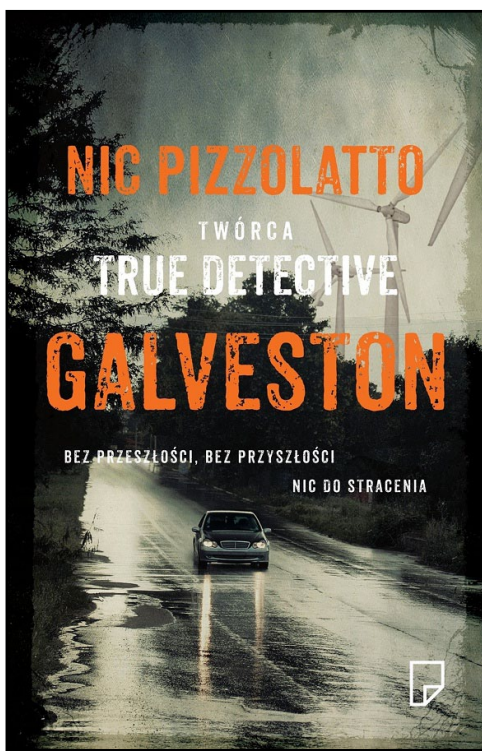
#sensacja #powieść

Nic Pizzolatto

Galveston

Roy Cady nie jest grzecznym facetem. Drżą przed nim dłużnicy jego bossa. Nie zawaha się przed niczym. Wszystko idzie mu jak z płatka do czasu, gdy dowiaduje się o rozwijającej się w jego organizmie śmiertelnej chorobie. W tym samym czasie wpada w pułapkę – szef chce się go pozbyć skutecznie i bez śladów. Cady uchodzi z życiem i ratuje nastoletnią prostytutkę, Rocky, przypadkowo obecną w miejscu zaszki. Jedyną szansą na przeżycie jest uciezka i zacieranie śladów. Wiadomo, że nie ujdzie mu to płazem.

Sensacyjny początek trochę zbija z tropu, lecz wkrótce okazuje się, że w powieści jest drugie dno. Podróż przez amerykańskie południe, pobyt w obskurnym motelu i irracjonalna dla twardziela więź, jaka zaczęła się tworzyć między nim a uratowaną prostytutką, przenoszą tę historię w zupełnie inne literackie rejony. Zmiana, jaka zachodzi w głównym bohaterze, nie mogłaby zostać nazwana metamorfozą. To raczej powolne dopuszczanie do siebie stłumionej i ukrytej przez lata łagodności i opiekuńczości. Czas uciezki to okres, kiedy Roy i Rocky są wreszcie wolni – on od mafijnych zobowiązań, ona ma kogoś, komu na niej bezinteresownie zależy i otacza opieką.



Skala ocen:

Sto lat samotności

Miasto grzechu

Cień wiatru

Gra w klasy

Czas jest najprostrszą rzeczą

Moja walka...

Kronika sportowa

Paulo Coelho

**

Żegnaj laleczko

*

Czas pogardy

Autorowi udało się oddać atmosferę skażoną grożącym bohaterom niebezpieczeństwem. Pokazał, że nie każdy rodzi się zły i zepsuty, że to raczej okoliczności zmuszają ludzi do złych wyborów, na starcie nie dając im szansy na uczciwe życie. Historia Roya to uniwersalna opowieść o walce dobra ze złem. Dzięki temu, że napisał ją scenarzysta filmowy, jest bardzo dynamiczna, łatwa do zekranizowania, przez co idealna dla tych, którzy sądzą, że książki są nudne. Bardzo dobra powieść!

#powieść #tajemnica

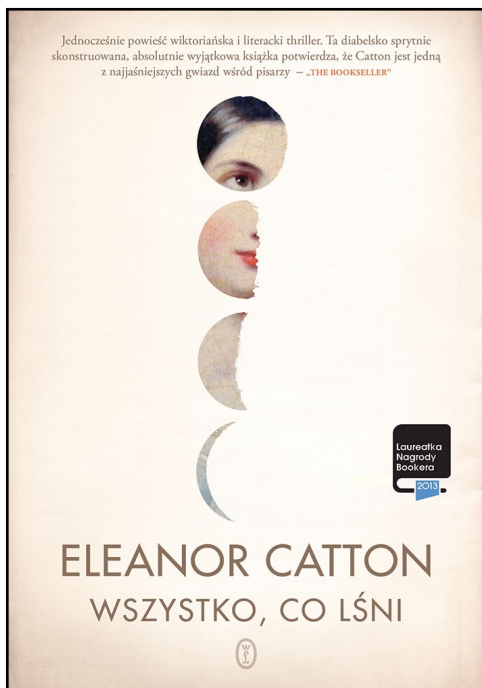
Eleanor Catton

Wszystko, co łśni

Laureatka Nagrody Bookera, Eleanor Catton, napisała prawie tysiącstronicową powieść o ludzkich namiętnościach, żądzach i chęciach zysku, które skumulowane prowadzą do zbrodni.

Pojawienie się Waltera Moody'ego w nowozelandzkim Hokitika przerywa tajną naradę w hotelu. Gdy przybysz zostaje zaakceptowany, poznaje historię, w którą wszyscy zebrani zostali wciągnięci wbrew swojej woli. Opowieść jest długa i skomplikowana – dotyczy złota niewiadomego pochodzenia, martwego mężczyzny, próbującej zabić się prostytutki i zaginionego młodzieńca. W tle mamy szantaż, wstydliwą rodzinną tajemnicę i pomniejsze życiowe dramaty bohaterów książki.

Intrygująca zagadka o charakterze kryminalnym to nie wszystko, co oferuje powieść. Autorka zadbała o realistyczne tło historyczne. Odkrycie złota w XIX wieku w Nowej Zelandii dało wielu ludziom nadzieję na roz-



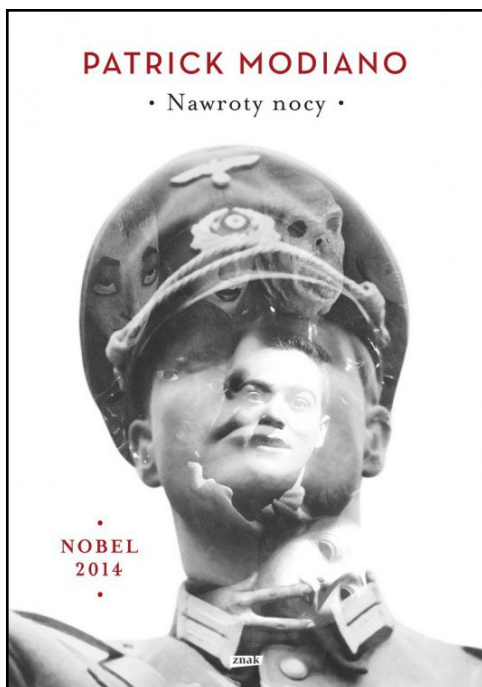
poczęcie nowego życia. W Hokitika pojawili się przybysze z Europy, Australii i Chin. Niektórzy marzyli o tym, by znaleźć tyle złota, żeby wystarczyło na powrót do domu, inni chcieli osiąść na stałe. Na pochwałę zasługuje iście koronkowa, misternie utkana fabuła, której kolejne fragmenty, nitki i odnogi poznajemy z różnych punktów widzenia. Tego scenariusza naprawdę nie można było zmieścić na 300 stronach, więc objętość jest tu usprawiedliwiona. Koniec książki tak naprawdę jest jej początkiem – wiedząc już, jak się potoczyła historia, dowiadujemy się, co spowodowało, że sprawy przyjęły taki obrót i jak doszło do pierwszych komplikacji. Pozycja warta przeczytania.

#nobel2014 #powieść

Patrick Modiano

Nawroty nocy

To książka o wojnie. Ale nie takiej, jaka staje nam przed oczami, gdy pada słowo „wojna”. Nie ma tu wybuchających granatów, obozów koncentracyjnych, ruin i skierowanych w człowieka luf karabinów. To wojna elegancka, francuska w pełnym znaczeniu tego słowa. Główny bohater, młody paryżanin, przystąpił do wojny w stylu francuskim. Został współpracownikiem samozwańczej grupy policyjnej usankcjonowanej przez współpracujący z nazistami rząd. Bohaterowi przypada rola podwójnego szpiega. Wkrótce nie wie, po której ze stron się opowiedzieć. Równie mocno jak pieniądze i władza imponują mu młodzi, nieugięci idealiści, których szpieguje. Ludzie z głowami pełnymi marzeń o lepszym świecie.



Gdyby nie sposób narracji, byłaby to świetna książka. Modiano postawił jednak na chaos – najpierw spiętrzył przed czytelnikiem kilka scen. Mamy więc migawki z wyuzdanych przyjęć, lejący się alkohol, ludzi omawiających szemrane interesy. Czytamy o aresztowaniach i odgłosach tortur dobiegających z piwnicy. Trudno śledzić rozwój akcji, kiedy stron ubywa, a wciąż nie wiadomo, o co chodzi i kim jest główny bohater. Potem wszystko powoli się klaruje i jest koniec. Pozostaje niesmak – i do książki jako takiej, bo źle się ją czyta, i do samego bohatera. Oddźwięk powieści jest mocny, co nie dziwi, biorąc pod uwagę, że dotyczy dylematów moralnych. Szkoda, że styl autora odstrasza od lektury.

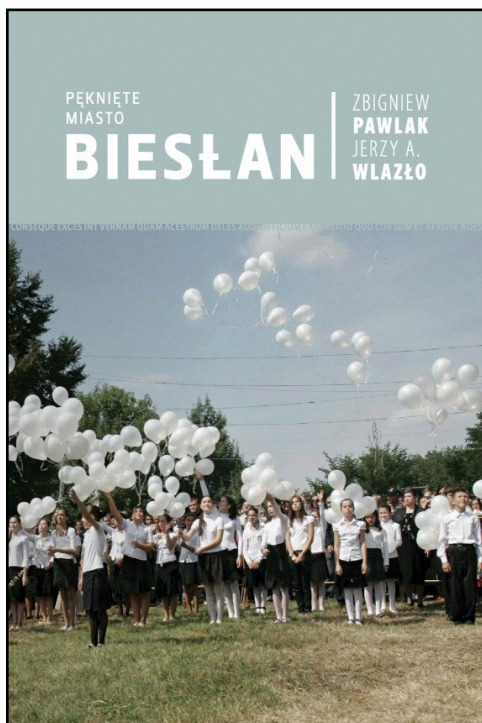
#reportaż #Kaukaz

**Zbigniew Pawlak,
Jerzy A. Włazło**

Bieślan. Pęknięte miasto

Od ataku terrorystów na szkołę w Bieślanie minęło już 10 lat. Autor powraca pamięcią do roku 2004. Wraca też fizycznie na Kaukaz, by przekonać się, co zmieniło się przez 10 lat i czy czas mógł zaleczyć rany. Jego opowieść to po części reportaż, po części książka o osobistych doświadczeniach. Rozmowy z pogrążonymi w żałobie ludźmi to nie praca dla reportera. Tu bardziej liczy się człowieczeństwo niż profesjonalne podejście do rozmówcy.

Tragedia w Bieślanie to ani nie początek, ani nie koniec konfliktów w tamtym rejonie świata. Ta książka jest próbą ogarnięcia tematu w sposób przystępny dla czytelnika – bez



wchodzenia w szczegóły i bez analiz politycznych. Przez większość czasu jest wyważona i nie gra na uczuciach. Nawet o dramatycznych przeżyciach osób uwięzionych w sali gimnastycznej opanowanej przez terrorystów-samobójców pisze w sposób umiarkowanie emocjonalny. Wiadomo, wyobrażenia nadrabia braki w dramaturgii. To reportaż niedoskonały. Chwilami nużący, drażniący sztucznymi dialogami i osobistymi wtrętami. A jednak warto go przeczytać, by zrozumieć, że tak naprawdę niewiele wiemy o tym, co dzieje się na wschodzie.

#autobiografia #Trójka

Marek Niedźwiecki

Radiota

Marek Niedźwiecki to postać znana tym, dla których trójkowe listy przebojów były oknem na muzyczny świat w latach 80. i 90. Bohater i autor tej książki opowiada o swoim życiu, zachowując chronologię zdarzeń. Wybiera takie fragmenty swojej autobiografii, które potwierdzają fakt, iż Niedźwiecki od dziecka jest radiotą, czyli człowiekiem radia. Już jako dziecko marzył o tym, żeby pewnego dnia zasiąść przed mikrofonem. Chciał poprowadzić własną audycję, najlepiej w Trójce, skąd wywodzili się jego idole: Piotr Kaczkowski i Wojciech Mann. Droga do wymarzonego radia nie była łatwa, nikt nie zabijał się o zbliżającego się do trzydziestki inżyniera. Ostatecznie jednak opłacało się postawić wszystko w życiu na jedną kartę.

Treść bawi, zdumiewa, zaskakuje. Niedźwiecki ma do siebie dystans, nie stawia się w centrum świata, zaakcep-



tował siebie takim, jaki jest. Podkreśla, że jest mistrzem braku asertywności i trochę fajtłapą. Trwa przy swoich przyzwyczajeniach i nie przepada za zmianami. Iskrę szaleństwa widać natomiast w podróżach po Australii, gdzie ładuje akumulatory. Książka ilustrowana jest licznymi fotografiami z archiwum autora. Największą jej zaletą jest to, że nie próbuje udowodnić niczego ponad to, że Niedźwiecki jest radiotą.

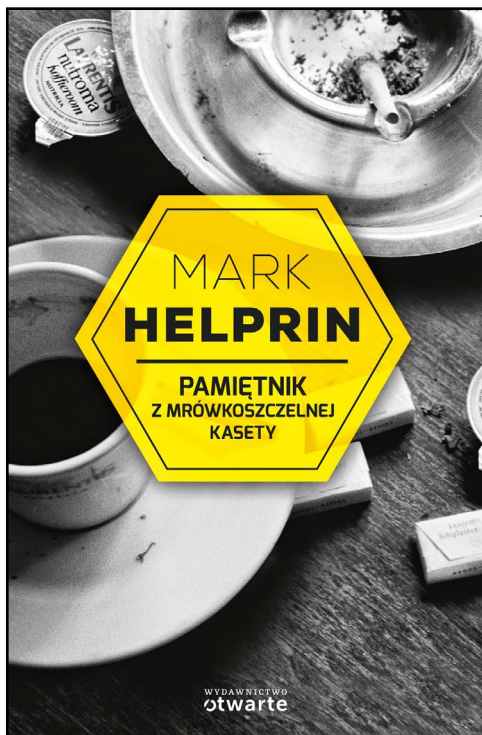
#powieść #przygoda

Mark Helprin

Pamiętnik z mrówkoszczelnej kasety

Pierwsze kilkadziesiąt stron ma na celu uświadomienie czytelnikowi, że pozna pełne przygód życie osiemdziesięcioletniego Amerykanina, Oscara Progresso. Bohater ukrywa się w Brazylii. Wstęp nie pozostawia wątpliwości, że w powieści będzie się dużo działo. W końcu osiemdziesiąt lat to dużo czasu. Można wykorzystać go na walkę z kawą, zabicie kilku ludzi i miłość do niezwykłych kobiet.

Progresso zbliża się do kresu swojego życia. Pozostałe miesiące postanawia wykorzystać na spisanie wspomnień. A ma o czym pisać, bo jego życie było niezwykle, tak jak nietuzinkowy jest sam bohater. To, co przydarzyło mu się w dzieciństwie, kładzie się cieniem na jego życiu i ma wpływ na podejmowane przez niego decyzje. Młodość spędzona w zakładzie zamkniętym w połączeniu z niezwykłą inteligencją i skłonnością do ryzykownych zachowań zaprowadziły Oscara na szczyty. Pozwoliły też zrobić oszołamiającą karierę, zostać



mężem miliardarki i ... zrezygnować ze wszystkiego w imię ideałów i kielkującej w głowie zemsty.

Jak to się czyta? Bardzo dobrze, jako że elementy komiczne przeplatane są opowieściami o charakterze poważniejszym. Nie jest to ani czytało, ani powieść bardzo wysokich lotów. W swojej kategorii wyróżnia się na plus – językiem, pomysłem, odwagą poruszania trudnych tematów, niekonwencjonalnym, dziwacznym bohaterem, rozmachem. Trzeba dodać, że po prostu niesamowicie wciąga.

#Ukraina #podróż

Ziemiowit Szczerek

Przyjdzie Mordor i nas zje

Przyjdzie Mordor i nas zje jest książką o podróżach na Ukrainę. Nie powiela jednak znanych schematów, lecz bezczelnie się z nich wyłamuje, przekazując obraz świata przefiltrowany przez wrażliwość narratora. Przenosi punkt ciężkości z miejsca na odbiorcę. Szczerek bardziej zainteresowany jest tym, jak Ukraina odbierana jest przez Polaków, niż tym, jaka jest naprawdę. Ciekawo go, z jakimi uprzedzeniami jeździmy na Wschód i w jaki sposób próbujemy je potwierdzić na własny użytek. Książka pokazuje Polaków od nienajlepszej strony. Jedną z pojawiających się na kartach powieści bohaterek zauważa, że Polacy jeżdżą na Wschód, by się tam dowartościować. Dzięki takim wyjazdom mogą poczuć się lepszymi, zamożniejszymi, bardziej cywilizowanymi. Mogą też podbudować swoje ego i ponabijać się z biedy, zaniedbania i zaniechania wynikającego z zakrętów historii. Tego rodzaju podróż jest dla Polaków formą



odreagowania, ponieważ my również bywamy obiektem kpin dla reszty Europy. I chociaż dużo w powieści goryczy, to jest też się z czego pośmiać i z czym polemizować. Autor nie feruje niepodważalnych wyroków, lecz poddaje pewne sprawy pod dyskusję.

Przez pewien czas trudno się zorientować, czy książka jest powieścią, czy reportażem. Za powieścią przemawia osoba głównego bohatera, zaś za reportażem nacisk na opis zjawisk i wydarzeń zza wschodniej granicy. Ostatecznie sam autor naprowadza na trop, pisząc o dziennikarstwie w stylu gonzo. Dopuszcza ono subiektywną relację i współuczestnictwo w opisywanych wydarzeniach. Czymkolwiek książka by nie była, czyta się ją wyśmienicie. Trafia i do wyrobionego czytelnika, i do tego, który szuka w książkach silnych wrażeń.

Opracowała: Agnieszka Kalus

Czytasz za darmo? Wyślij SMS-a

Nie mamy nic przeciwko darmowemu przesyłaniu znajomym numerów naszego pisma! Jeśli jednak posiadasz ten numer z takiego źródła, a uważasz, że jest on wart swojej ceny - zapłać ją! **To tylko 1.23 zł**, a pozwala nam kontynuować i rozwijać naszą działalność.

Wyślij **HPAY.ALTERPOP** na numer **7155** (1.23 zł)



Swoich się nie zostawia!

Problem z książkami science-fiction jest taki, że zwykle trafiają do ściśle określonego kręgu odbiorców, czyli miłośników gatunku. Pozostali czytelnicy nie bardzo wiedzą, z której strony wgrzyźć się w tego rodzaju literaturę, by nie połamać sobie zębów na skomplikowanej terminologii i zakręconej fabule. *Marsjanin* Andy'ego Weira, nowość na rynku wydawniczym, jest niezobowiązującym okienkiem na świat sci-fi.



Andy Wier
Marsjanin

To dopiero pech!

Mark Watney jest członkiem misji Ares 3. Astronauci mają na celu przeprowadzenie kilku eksperymentów na Marsie. Plany krzyżuje im potężna burza, w wyniku której Mark zostaje ranny i w chmurze pyłu znika z oczu pozostałym członkom załogi. W związku z tym, że nie ma z nim kontaktu radiowego, komandor statku podejmuje trudną decyzję o ewakuacji. Okazuje się, że Mark przeżył wypadek i teraz został zupełnie sam na Marsie. Może uratować go kolejna misja. Jednak do tego czasu Watney musi sobie radzić sam z tym, co ma.

Gorzej być nie może?

Watney to współczesny Robinson Crusoe. Podobnie jak on, zdany jest tylko na siebie. Jego przetrwanie zależy od pomysłowości w wykorzystaniu tego, co ma pod ręką, i ostrożności. Dzięki

temu, że Mark został ranny w pobliżu bazy, ma dach nad głową oraz dostęp do tlenu i wody. Jego codzienna egzystencja zależy jednak od wartego miliardy dolarów sprzętu zdolnego podtrzymywać życie w ekstremalnych, marsjańskich warunkach. Będąc jednym z wybranych, doskonale przeszkolonych astronautów, bohater ma duże umiejętności przetrwania. Mimo tego, przez cały czas towarzyszy mu świadomość, że koniec samotnej misji może nastąpić w każdej chwili – jeśli zawiedzie technika, nie będzie dla niego żadnego ratunku.

Nadmiar czasu wykorzystuje na planowanie, przeróbki sprzętu, obliczenia i eksperymenty. Jeśli choć część jego planu nie wypali, będzie miał poważne kłopoty i być może nie dotrwa do czasu przybycia misji ratunkowej. W przeciwieństwie do Robinsona, ten bohater nie ma nadziei na przypadkowy ratunek lub pojawienie się człowieka.

Uśmiech i optymizm

Marsjanin to przede wszystkim opowieść o walce o przetrwanie w najbardziej niesprzyjających warunkach, jakie można sobie wyobrazić. Dzięki temu, że historia przesycona jest humorem, a Watney nie przebiera w słowach, nie jest to suchy zapis poczynań samotnika na odległej planecie. To dynamiczna walka z przeciwnościami, znoszenie porażek z pokorą i optymistyczne planowanie nowych działań na gruzach nieudanych akcji. Optymizm astronauty jest zarażający. Nieczęsto spotyka się tak pozytywnych bohaterów jak ten w powieści Weira.

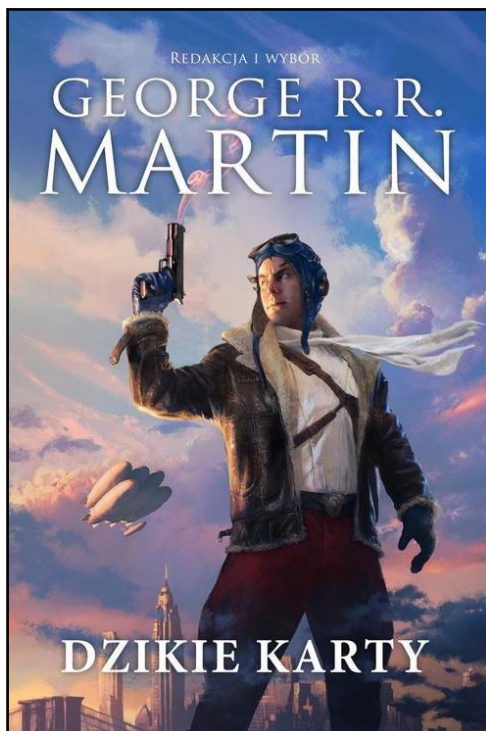
Macie jeszcze wątpliwości? Bez obaw, nie zrażajcie się tytułem ani tematyką, niech nie odstrasza was etykieta science-fiction. Konwencja fantastyczna jest tu tylko dodatkiem, urozmaicheniem, szczegółem komplikującym życie bohaterowi. W tej książce najważniejsza jest przygoda, opowieść o niezłomności, przyjaźni, poświęceniu i stawianiu czoła przeciwnościom. Autor wziął wszystkie archetypiczne cechy Amerykanina-człowieka, który polega głównie na sobie, uparcie dąży do celu i każdą porażkę potrafi przekuć w sukces. Następnie doprawił je nietypową, wymagającą, kosmiczną scenerią, hojnie dorzucił humoru i stworzył powieść, która spodoba się każdemu, kto w dzieciństwie zaczytywał się książkami Nienackiego, Maya lub Verne'a.

Agnieszka Kalus



Bohaterowie w stylu retro

Moda na superbohaterów w Europie kwitnie. Tak naprawdę dopiero od kilku lat fantastyczni herosi zaczęli być bardziej znani (głównie za sprawą filmów Marvela). Tymczasem miłośnicy literatury po raz pierwszy mają okazję zapoznać się z **Dzikimi kartami**, cyklem, którego współtworzenie przyniosło Martinowi, twórcy **Pieśni lodu i ognia**, ogromną sławę za oceanem. Choć liczy on sobie już kilkanaście tomów, to jednak ciężko przewidywać, że przyjmie się on na Starym Kontynencie.



Dzikie karty

Cała opowieść rozpoczyna się niedługo po zakończeniu drugiej wojny światowej. Na Ziemię przybywa tajemniczy doktor Tachion, przedstawiciel odległej, inteligentnej rasy. Niemalże równocześnie z nim na naszej planecie pojawia się wytwór jego cywilizacji – statek z bombą wirusową. Mikrob ten działa dość intrygująco, bo może doprowadzić zarówno do śmierci nosiciela, jak i pojawienia się u niego najróżniejszych cech. A tych dzieli się na asy (ci, którzy obdarzeni zostali prawdziwymi talentami) i dzokerów, zniekształcone ofiary użycia broni. I tylko od nich zależeć będzie, jak wykorzystają swoje nowe zdolności.

Mimo iż na okładce umieszczono nazwisko Martina dość dużymi literami, to jego rzeczywisty wkład w pierwszy tom **Dzikich kart** jest stosunkowo niewielki – tylko jeden z epizodów został napisany przez twórcę **Pieśni**

lodu i ognia. Poza tym antologia nie zawiera nazwisk zbyt dobrze znanych w naszym kraju – na dobrą sprawę wymienić można tu tylko Rogera Żelazny'ego.

Jakościowo opowiadania są jednak dość... marne. Czasami trudno ocenić, czy autorzy chcieli stworzyć raczej teksty obyczajowe, a elementy fantastyczne dodawali w ostatniej chwili – wielu z asów i dzokerów to przysłowiowe kwiatki do kożucha i na palcach jednej ręki wskazać można tych, którzy wyróżnili się pozytywnie spośród tłumu im podobnych. Nastolatek zapadający w wielomiesięczne sny, podczas których zmienia swoje „właściwości”? Czy też może amerykański agent potrafiący zatrzymać czas? Owszem, to z pewnością przypadki warte uwagi, szkoda jednak, że nieliczne. Dominują sylwetki wykreowane niechlujnie, jakby od niechcenia, i nijakie.

Problem sprawia utożsamianie się z postaciami. Niestety, bardzo nieliczni autorzy potrafili stworzyć wiarygodnych i zajmujących bohaterów. Jednak w przerażającej większości nie zwracają na siebie uwagi czytelnika – gorzej, bo bardzo często wręcz przeszkadzają w lekturze. Problem jest na tyle poważny, że znaczna część protagonistów występuje także w późniejszych tomach **Dzikich kart.** W znakomitej większości przypadków pierwsze wrażenie jest tak złe, że wielu czytelników raczej nie sięgnie po potencjalną kontynuację ich losów. Po prostu po lekturze zbyt silne jest uczucie, że bohaterowie opowiadań znaleźli się w swoich rolach za karę i postanowili zrobić odbiorcom na złość.

Warto jednak dokładniej przyjrzeć się asom i dzokerom jako bohaterom – a raczej ich odmienności od tego, do czego przyzwyczaili nas twórcy tużów takich jak Superman czy Batman. Ci w **Dzikich kartach** są nieprzyzwyczajeni do życia w społeczeństwie. Nietrudno o taki efekt, skoro wirus dotknął osoby zupełnie przypadkowe. Pracowników administracji rządowej, nastolatków, lekarzy, prawników – trudno ich podejrzewać o jakieś intrygujące, pełne zwrotów życiorysy. Trzeba jednak samemu odpowiedzieć sobie na pytanie, czy zdarzenie zwykłych ludzi z niezwykłymi umiejętnościami jest warte tego, by przedzierać się przez opowiadania w najlepszym razie średnie.

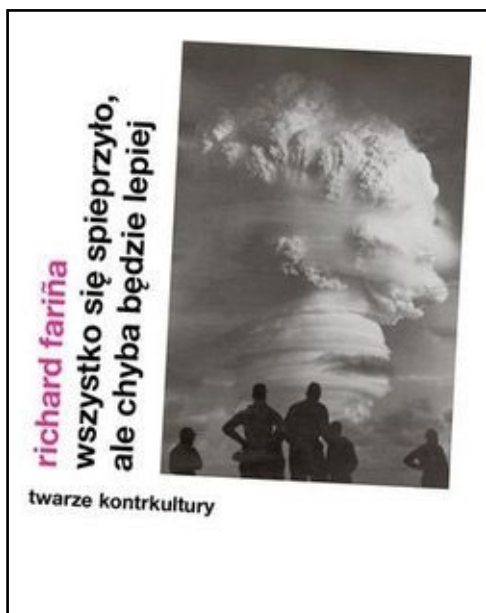
Nie ma się co łudzić, **Dzikie karty** raczej nie przyjmą się na polskim rynku wydawniczym. Nasza kultura bardzo niechętnie podchodzi do superbohaterów (w Polsce doczekaliśmy się raptem kilku naszych herosów, a i nawet oni nie są zbyt popularni) w przeciwieństwie do mieszkańców Stanów Zjednoczonych, którzy niemal żyją komiksami i filmami o wyczynach ich ulubieńców. Pierwszy tom cyklu opowiadań prezentuje się na tyle skromnie i niezachęcająco, że rozpoczynanie przygody z kolejnymi pozycjami nie ma zbyt dużego sensu.

Dawid „Fenrir” Wiktorski



Współczesny Odyseusz, czyli *Wszystko się sieprzyło ale chyba będzie lepiej*

„Do Aten, więc. Młody Gnosos Pappadopoulos, Kubuś Puchatek, strażnik ognia, wracał z dalekiego rejsu po asfaltowych morzach wielkiej ziemi jałowej. (...) Oto ja, krzykliwy kłamca, tupiący buciorami, myślami pogrążony w knowaniach. (...) Jestem niewidzialny, myśli często. I Wolny. Przyznano mi immunitet, gdyż nie tracę nad sobą kontroli” – tak rozpoczyna się ***Been Down So Long It Looks Like Up To Me***, debiutanka – i jedyna – powieść Richarda Fariny, wydana w USA w 1966 roku.



Richard Farina

*Wszystko się sieprzyło,
ale chyba będzie lepiej*

Oryginalny tytuł zaczerpnął autor ze starej bluesowej piosenki ***I Will Turn Your Money Green*** Furry'ego Lewisa. Wiosną A.D. 2014 – niemal pół wieku po amerykańskiej premierze! – książka wreszcie ukazała się w Polsce pod tytułem ***Wszystko się sieprzyło, ale chyba będzie lepiej***, w świetnym przekładzie Tomasza Kłoszewskiego. Za oceanem książka Fariny to jedna z kluczowych pozycji literatury kontrkulturowej, tuż obok ***W drodze*** Kerouaca, ***Nagiego lunchu*** Burroughsa czy ***Lęku i odrazy w Las Vegas*** Thompsona, zaś jej autor był nie tylko utalentowanym pisarzem, ale też obiecującym muzykiem. Przyjaźnił się z Bobem Dylanem i Thomasem Pynchonem, podróżował, romansował, rozbijał się po knajpach, gdzie pił, palił, zażywał narkotyki i zawzięcie dyskutował na rozmaite tematy, od

literatury po filozofię i sztukę. Zginął w tragicznych okolicznościach w wieku zaledwie 29 lat, jako autor jednej powieści i wydanego pośmiertnie zbioru poezji i opowiadań.

Richard Farina urodził się 8 marca 1937 roku w Nowym Jorku. Matka miała korzenie irlandzkie, ojciec był Kubańczykiem. Mały Richard był chorym dzieckiem, cierpiał na astmę i liczne alergie. Wątpliwe zdrowie nie przeszkodziło mu jednak w młodszej twórczości artystycznej – już w wieku 10 lat rysował autorskie komiksy, zaś w szkole średniej prowadził w szkolnym magazynie dział skrzących się ironicznym humorem porad. Jako znakomity uczeń otrzymał w 1955 roku stypendium Cornell University, z którego skorzystał, wybierając jako kierunek inżynierię. Już wtedy pisał wiersze i opowiadania publikowane w lokalnych i krajowych periodykach. Po drugim roku przeniósł się na wydział języka angielskiego (gdzie poznał Pynchona), jednak studiów nie ukończył – w 1958 roku został zawieszony w prawach studenta. Przyczyną wydalenia z uniwersytetu był udział w zamieszkach, które wybuchły po wprowadzeniu nowych, restrykcyjnych przepisów obowiązujących na terenie kampusu. Wprawdzie odzyskał status studenta, ale zrezygnował z dalszej edukacji tuż przed obroną dyplomu, po czym wrócił do Nowego Jorku.

W rodzinnym mieście Farina przeżywał w White Horse Tavern, nowojorskiej knajpie skupiającej poetów, muzyków i wszelkiej maści artystów. To właśnie tam spotkał Carolyn Hester – folkową wokalistkę, z którą wziął ślub w 1960 r. po zaledwie osiemnastu

dniach związku. Małżeństwo nie trwało długo, ale dzięki niemu autor **Wszystko się spieszyło...** zaczął muzykować i blisko zaprzyjaźnił się z Bobem Dylanem, wówczas mało znanym twórcą folkowym, którego poznał w studiu nagraniowym podczas rejestracji płyty Carolyn. Przez jakiś czas Farina był menedżerem swojej żony – zajmował się promocją, organizował miejsca do grania i jeździł z nią w trasy koncertowe, podczas których pracował nad debiutancką powieścią. Czasami występował też z Carolyn na scenie, akompaniując jej na cymbałach appalaskich.

W 1962 roku, podczas podróży po Europie, Farina poznał Mimi Baez – szesnastoletnią siostrę Joan, słynnej piosenkarki. Starszy o dziewięć lat Farina całkowicie stracił głowę dla dziewczyny i zażądał od Carolyn rozwodu. Ta zagroziła mu śmiercią, ale zaskoczona



Richard Farina



jego reakcją – Richard nie okazał strachu i zaczął wręcz fantazjować nad takim rozwiązaniem – uznała bezkrwawe rozstanie za najlepsze wyjście. Półtora roku później Richard i Mimi byli już małżeństwem (drużbą na ślubie był sam Thomas Pynchon – nawiasem mówiąc ciekawe, czy jacyś weselni goście zapamiętali twarz autora **49 idzie pod młotek?**). Przenieśli się w górzyste rejony Carmel w Kalifornii, gdzie zamieszkali w drewnianej chacie. Farina dzielił czas między pisanie powieści a tworzeniem muzyki. Komponował, pisał teksty, nagrywał i występował. Dzięki politycznie zaangażowanym lirykom i wyrazistej muzyce, zwrócił na siebie uwagę publiczności i krytyków. Porównywano go z Dylanem, wrócono wielką karierę. Miał nawet wyprodu-

kować płytę swojej szwagierce, Joan Beaz, która wówczas była już gwiazdą.

28 kwietnia 1966 roku do księgarni wreszcie trafiło **Wszystko się spieprzyło, ale chyba będzie lepiej** – owoc kilkuletniej pracy, rozpoczętej jeszcze na uniwersytecie w Cornell, kontynuowanej w Nowym Jorku oraz podczas tras koncertowych Carolyn Hester, i ostatecznie ukończonej w Kalifornii. Książka nie od razu zyskała rozgłos, ale z czasem podzialała legenda o przedwczesnej śmierci autora, a także zrealizowana w 1971 roku filmowa adaptacja powieści, inspirowana nią piosenka **Been Down So Long** grupy The Doors oraz wsparcie Thomasa Pynchona, który nie tylko zadedykował Farinie swoje opus magnum, **Tęczę grawitacji**, ale też napisał wstęp do jednego z wydań **Wszystko się spie-**

przyło.... Debiut Fariny to brawurowe połączenie powieści pikareskiej z historią kampusową i jednocześnie powieść z wyraźnym kluczem – książkowy Mentor University położony w Atenach to w rzeczywistości uniwersytet w Cornell, alma mater Fariny, zaś sam Gnossos – główny bohater, bezczelny amerykański Grek ze słabością do sera feta, kobiet i narkotyków, współczesny Odyseusz powracający do swojej Itaki – stanowi alter ego autora.

Całość rozpoczyna się w 1958 roku, od



Richard i Mimi

powrotu Gnossosa na łono uczelni, z której zniknął w tajemniczych okolicznościach rok wcześniej. Powrót ów jest znaczonej kolejnymi aferami – towarzyskimi, narkotykowymi, politycznymi i miłosnymi. Przede wszystkim właśnie miłosnymi, bo odurzony opium, meskaliną i marihuaną, niestroniący od przygodnego seksu i anarchizujący kpiarz, jakim jest Gnossos, w końcu się zakocha, na dodatek nieszczęśliwie. I wtedy okaże się, że jego niezależność, nonszalancja, poczucie wewnętrznej wolności – że to wszystko stanowi kruchą pozę, która pęka pod naporem niespodziewanego, niekontrolowanego uczucia. Katastrofy dopełni demoniczny Oeuf, który sprowadzi Gnossosa na manowce. Te wątki przeplatają się z epizodem podróży po południowych, ogarniętych rasizmem stanach Ameryki, motywem bomby atomowej oraz z wydarzeniami na Kubie trawionej ogniem rewolucji.

W pewnym sensie bohater Fariny stanowi brakujące ogniwo między beatnikami i hipisami. ***Wszystko się spieprzyło, ale chyba będzie lepiej*** łączy z tymi pierwszymi motyw drogi, bycia w nieustannej podróży (również tej wewnętrznej), z drugimi zaangażowanie polityczne, wreszcie zaś z obydwoma – rozwiązłość seksualna i zamiłowanie do używek. A jednak, pomimo wyraźnych związków z tymi ruchami, trudno jednoznacznie przyporządkować dzieło Fariny do jakiegokolwiek formacji myślowej. Od beatników odróżniał go brak patosu (który zamienił na wisielczy, szyderczy humor). Od dzieci-kwiatów – brak wiary we wzniosłe hasła o miłości, pokoju i ekologii. Gnossos nie jest ani pompa-

tycznym poetą, ani naiwnym piewcą Ery Wodnika. Wydaje się nie pasować ani do społeczeństwa, ani do rodzącej się kontrkultury – jest na innym poziomie społecznym, ideologicznym, nawet etnicznym. Jako amerykański Grek, uniwersytecki wyrzutek i nieszczęśliwie zakochany cynik, jest wykluczony co najmniej potrójnie. Ale te, zdawałoby się, poważne tony, są błyskotliwie punktowane kapitalnym humorem, bo ***Wszystko się spieprzyło...*** jest lekturą równie przygnębiającą, co zabawną.

„Chóralne alleluja, utwór grany przez dwustu muzyków w idealnej tonacji. To prześmieszna, mroząca krew w żyłach, erotyczna, głęboka, szalona, piękna i jednocześnie oburzająca powieść” – pisał po latach zachwycony Thomas Pynchon o ***Wszystko się spieprzyło...***, zaś wtórowali mu krytycy, urzeczeni wyrafinowanym połączeniem liryzmu i ryszotoku. Farina nie doczekał tego sukcesu. Dwa dni po ukazaniu się książki, 30 kwietnia 1966 roku, wsiadł jako pasażer na harleya jednego z gości imprezy urodzinowej Mimi. Kierowca rozpędził motocykl do ponad 140 kilometrów na godzinę, ale na zakręcie stracił panowanie nad pojazdem, który wypadł z górskiej drogi, przebił się przez druciane ogrodzenie i rozbił w polu. Sprawca wypadku wyszedł z niego z kilkoma zadrapaniami. Richard Farina zginął na miejscu. Pochowano go na cmentarzu w Monterey. Na nagrobku widnieje symbol pacyfki.

Maciej Kaczmarski

Ale to już było...

Piszę ten tekst z perspektywy osoby, która dużo czyta. Jestem pewna, że doskonale rozumieją mnie również ci, którzy oglądają wiele filmów.

Prześladuje mnie taka scena:

Ona lub on wreszcie zaczynają rozumieć, że nie mogą żyć bez tej drugiej osoby. Po kilkunastu rozdziałach rozterek, bicia się z myślami, postanawiają wreszcie dać tej drugiej stronie wiążącą odpowiedź, paść sobie w ramiona, a może i trafić razem do łóżka, jakby wszystko dobrze poszło. Rażnym krokiem podążają w sobie wiadomym kierunku, by wreszcie położyć kres rozterkom i połączyć się na zawsze z ukochanym. I wtedy dzieje się TO.

Ukochany (lub ukochana) jest w towarzystwie osoby płci odmiennej. Ta osoba towarzysząca zawsze jest albo ponętną kobietą, albo przystojnym mężczyzną. W innym wariantcie mamy telefon, który odbiera ktoś inny, kto swoim pojawieniem się odstrasza prawie już zdecydowanego amanta. W takiej sytuacji delikwent gotowy wyznać miłość wycofuje się raczkami, dławiąc się od złości, czując się poniżonym, wzgardzonym i przede wszystkim oszukany.

Gdyby to nie była powieść, niedoszli kochankowie porozmawialiby ze sobą przy najbliższej okazji. Ale nie, autor czuje się w obowiązku skomplikować fabułę, zapominając, że wszystko to

już było. Więc leci po kolei: zawsze najpierw jest foch, który trwa stron kilkadziesiąt, wraz z nim podejrzenia o niewierność, a co najmniej o złe intencje, następnie nadchodzi pora na desperackie, spontaniczne decyzje, skutkujące, w łagodnej wersji, zmianą numeru telefonu, a w przypadkach bardziej drastycznych – próbą samobójczą.

Potem trzeba jeszcze przeczytać kilkadziesiąt stron i wszystko oczywiście wraca na właściwe tory. Kochankowie zaczynają rozmawiać i wyjaśniają sobie to, o czym wszyscy, łącznie z czytelnikiem, już wiedzą. Długonoga blondynka okazuje się być daleką kuzynką ze wsi, a przystojny brunet pracownikiem firmy kurierskiej. „Cudem” połączeni kochankowie padają sobie w objęcia, a ich radość nie ma końca...

Kojarzycie to? Każdy z nas przerobił ten schemat wielokrotnie, czytając książki i oglądając filmy. Dziwi więc, że autorzy i scenarzyści jeszcze nie mają tego dosyć. Nie znają litości i nie mają umiaru w eksploatowaniu tego cliché.

Agnieszka Kalus



PREMIERY. gier

#slasher #Władca Pierścieni #parkour

Śródziemie: Cień Mordoru

Od ostatniego kroku postawionego przez graczy w Śródziemiu minęło już sporo czasu. Tym bardziej cieszy fakt, że **Cień Mordoru** wyciąga z tolkienowskiego uniwersum wszystko to, co najlepsze. Jest Sauron (choć nie bezpośrednio), filmowy rozmach i całe rzesze plugawych orków do wyrżnięcia. Czego chcieć więcej?

Najsłabszym elementem, który sukcesywnie próbuje pociągnąć gracza na dno, jest fabuła. Ta opowiada historię gondorskiego strażnika Taliona, którego rodzina została zgładzona na polecenie Saurona. On sam również nie umknął spod orkowego noża, jednak w zaświatach nie było dla niego miejsca. Musi pomścić swoich bliskich i unicestwić plany twórcy Jedynego Pierścienia.

Na szczęście soczysta rozgrywka z nawiązką nadrabia niedociągnięcia scenarzystów. Karmazynowa posoka co rusz tryska z przecinanych tętnic przeciwników – najczęściej orków – a Talion wraz z awansem na wyższy poziom uczy się nowych sposobów eksterminacji. Zadowoleni będą zarówno fani subtelnych metod rozwiązywania problemów, jak i ci, którzy



preferują makabryczny taniec wśród latających w powietrzu kończyn.

Śródziemie: Cień Mordoru zostało oparte na silniku znanym z serii **Assassin's Creed**. Twórcy wzięli go jednak na warsztat i podrasowali między innymi walkę, dzięki czemu ta jest trudniejsza niż w protoplaście, a jednocześnie równie satysfakcjonująca jak w **Batmanie**. Strzał w dziesiątkę? Legolas potwierdza.

O sukcesie gry świadczy również żyjący własnym życiem świat. Orkowie walczą między sobą, pnąc się po szczeblach „kariery” w swoich oddziałach. Eliminacja co ważniejszych osobników, często wymaga poznania słabych punktów wroga. Twórcy stworzyli unikalny ekosystem, w którym należy się odnaleźć i wykorzystać jego elementy do własnych celów.

Śródziemie: Cień **Mordoru** nie jest grą idealną, choć zabrakło do tego niewiele. To dobre podłoże pod kolejne części serii i praktycznie jedyna okazja, by ponownie przenieść się do tolkienowskiego świata.

#horror #retroklimat #sc-fi

Obcy: Izolacja

Obcy: Izolacja to kolejny przedstawiciel prężnie rozwijającego się gatunku survival horrorów. Tym razem na tapetę wzięto jedną z najbardziej przerażających i klimatycznych opowieści w historii kinematografii. Jako córka Ellen Ripley musimy odkryć, co spotkało jej matkę. I albo tę podróż pokochamy, albo znienawidzimy.

Dzieło Creative Assembly to gra stosunkowo leniwa. Atmosfera budowana jest tu powoli, choć autorzy doskonale



wiedzą, w którym momencie uwolnić emocje i sprawić, by gracz czmychnął pod biurko. Spotkania z tytułowym Obcym – przez pierwsze kilka godzin – wręcz wywołują palpitacje serca. Później staje się dostrzegalna pewna schematyczność w zachowaniu naszego przeciwnika, choć randka sam na sam z ksenomorfem wciąż jest pełna emocji. I wcale nie chodzi o nieświeży oddech obcego czy kwas ciekący z pyska.

Obcy: Izolacja skutecznie gra na naszej psychice, w tym również na poczuciu nostalgii. Stacja kosmiczna garściami czerpie z oryginału z 1979 roku. Począwszy od mebli, poprzez charakterystyczne kokpity komputerów, a na sposobie ubioru kończąc – Ridley Scott nie powstydziłby się takiej kreacji. Retroatmosfera jest tu wszechobecna, a na fanów serii czekają do odkrycia liczne smaczki i nawiązania.

Obcy: Izolacja to znakomita, choć nieco przydługa podróż w czasie, którą docenią przede wszystkim fani serii i entuzjaści horrorów. Reszta może się w połowie znudzić lub zwyczajnie do niej nie dotrzeć, licząc, że szafa jest wystarczającym schronieniem przed Obcym. Nie jest.

#podróż #weird fiction #złota jesień

The Vanishing of Ethan Carter

Adrian Chmielarz, znany głównie ze zręcznościowych strzelanek (i niewyparzonego języka), postanowił stworzyć coś ambitnego. I trzeba przyznać, że w nowej roli spisał się znakomicie. **The Vanishing of Ethan Carter** zachwyca niemal pod każdym względem.

Skala ocen:

Balls of steel

Headshot!

I live, again

Let's rock

War. War never changes

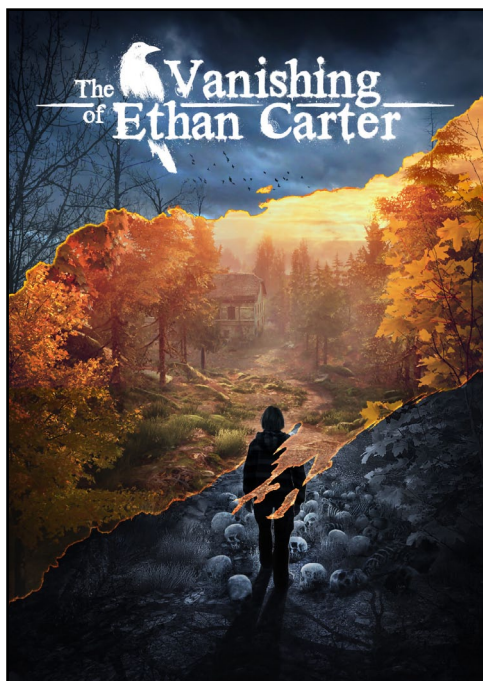
Przed wyruszeniem w drogę,
należy zebrać drużynę

Finish him!

Bomb has been planted

**
Blood for the Blood God

*
Game over



Zaginiecie Ethana Cartera to unikatowa opowieść, którą każdy przeżywa na swój sposób. Leniwe, skąpane w promieniach zachodzącego słońca lokacje z jednej strony wywołują pozytywne, wręcz błogie uczucia, natomiast z drugiej budzą niepokój. Nad graczem ciąży bowiem obowiązek odkrycia mrocznej tajemnicy, którą skrywa dolina Red Creek. Rozwiązanie zagadki nie oferuje jednak jednoznacznej odpowiedzi i daje pole do wolnej interpretacji.

Ethan Carter oferuje wszystko to, czego brakuje w liniowych, wręcz korytarzowych grach. Swoboda eksploracji połączona z chęcią rozwiązania tajemnicy zaginięcia tytułowego bohatera sprawia, że kolejne godziny ulatują nam niczym ostatnie promienie jesiennego słońca. Szkoda tylko, że dość szybko kończąca się historia oprócz mętliku w głowie pozostawia także spory niedosyt.

Pięknie prezentuje się również oprawa graficzna. Deweloperzy na szeroką skalę wykorzystali fotogrametrię, przez co skąpany w słońcu las, zniszczony most kolejowy czy stary kościół wyglądają niczym wyjęte z rzeczywistości. Kilukrotnie złapałem się na tym, że przez dłuższą chwilę tkwiłem w miejscu tylko po to, by podziwiać majestatyczny horyzont.

The Vanishing of Ethan Carter to gra jedyna w swoim rodzaju. Chmielarz skutecznie połączył klasyczną wędrówkę z tajemniczą historią w stylu Lovecrafta, a całość oparł w błogą, jesienną atmosferę. To trzeba przeżyć samemu!



#kickstarter #wskrzeszanie legendy #turowa

Jagged Alliance: Flashback

**

Flashback to idealny przykład na to, że w Kickstarterze pokładane są zbyt duże nadzieje, a nieuczciwi i często nie-doświadczeni twórcy żerują na sentymentach graczy. **Jagged Alliance** wciąż musi czekać na godnego następcę, natomiast **Flashbacka** czym prędzej wysyłamy na samobójczą misję w sam środek partyzanckiego piekła. Z biletem w jedną stronę.

Jagged Alliance: Flashback to klasyczna próba odtworzenia legendy. Niestety twórcy dostali zadyszki już na treningu. W grze teoretycznie otrzymujemy wszystkie elementy, które przełożyły się na sukces dwójki. Jest małe państewko ze złym dyktatorem na czele, są nieustępliwi najemnicy, jest nawet nieco kiczowaty klimat bananowej republiki. Niestety diabeł tkwi w szczegółach, a te prawdopodobnie wyjęte zostały wprost z rysztoku.

Walka turowa, czyli najbardziej charakterystyczny element serii, nie toczy się według żadnych racjonalnych zasad. System ma problemy z przeliczaniem najprostszysch szans na trafienie, o wykrywaniu kolizji już nie wspominając. Na domiar złego sztuczna inteligencja nie istnieje, a nasi najemnicy czują się, jakby strzelali do animowanych kukieł.

Flashback pod jednym względem trzyma poziom oryginału. Mowa o oprawie graficznej, która została żywcem wyjęta z 1999 roku. W tym przypadku nie jest to komplement. Honor Kickstartera może już uratować tylko **Pillars of Eternity**.



#slasher #cRPG #fantasy

Lords of the Fallen

Duchowy spadkobierca **Dark Souls** i jednocześnie pierwsza gra, która polskiemu CI Games faktycznie się udała – tak w największym skrócie można podsumować **Lords of the Fallen**.

Jeszcze przed premierą złośliwi obserwatorzy wypominali CI Games, że studio nie poradzi sobie z tak dużym projektem i przede wszystkim nie udźwignie ciężaru, jakim niechybnie jest legendarne już **Dark Souls**. Okazuje się jednak, że Polacy nie tylko odnaleźli w tym hardkorowym gatunku odpowiednią ścieżkę, ale też potrafili nią dojść do samego końca, odkrywając własną tożsamość.

Lords of the Fallen wyciąga najlepsze elementy **Dark Souls** i czyni je... przystępniejszymi dla zwykłego gracza. CI Games oszczędza nie tylko nasze nerwy, ale również klawiatury i myszki, które w przypadku gry From Software niechybnie lądowały w koszu na śmieci. W drobnych kawałkach. Jest nieco łatwiej, choć wciąż szalenie wymagająco. Krótkie rozkojarzenie, rozluźnienie gardy czy odwrócenie wzroku od przeciwnika kończy się bolesnym sprowadzeniem na ziemię. Dosłownie.

W tym szaleństwie jest jednak metoda. Ucywilizowanie walki z **Dark Souls**, postawienie nieco większego nacisku na magię i przedstawienie świata, który dla przeciętnego Europejczyka jest dużo bardziej zrozumiały – to musiało się udać. Gdyby tylko **Lords of the Fallen** nie zawodziło w kwestiach technicznych, byłby murowany kandydat do gry roku.



#energy drink #akcja #rozwałka

Sunset Overdrive

Co ma ze sobą wspólnego energy drink, plaga mutantów i wyrzutnia pluszaków wypełnionych dynamitem? To elementy składowe znakomitej zabawy, a także doskonały sposób na wypromowanie niedocenianej konsoli.

Sunset Overdrive to tytuł ekskluzywny dla Xbox One. Microsoft wraz z Insomniac Games postanowił wytoczyć najcięższe działa, wycelować je w Japończyków i... o dziwo nic przy okazji nie wybuchło, co już należy uznać za sukces.

W świecie gry premierę miał nowy energy drink. Podczas imprezy promocyjnej coś jednak poszło nie tak, a klienci, którzy skosztowali płynu, zaczęli się przeobrażać w krwiożercze poczwary, mające na celu wybić ludzkość. Główny bohater wraz z grupką ocalałych musi się wydostać z miasta, które zwariowało na punkcie energetyka.

Brzmi niezwykle głupio i w rzeczywistości tak jest. Infantylna fabuła umożliwiła twórcom jazdę bez trzymanki i zastosowanie groteskowych zabiegów, które w każdej innej grze byłyby zbrodnią. **Sunset Overdrive** co chwilę częstuje nas czerstwym niczym wczorajszy chleb humorem, który ostatecznie nadaje grze specyficznego wydźwięku.

Wszystko to łączy się w szaloną rozgrywkę, podczas której szusujemy po szynach i liniach wysokiego napięcia, oddajemy wysokie skoki przy pomocy dużych wentylatorów i walczymy z coraz to bardziej karykaturalnymi



wynaturzeniami. Całość w akompaniamencie wesołej muzyki i umownych broni, które wywołają uśmiech na ustach największego ponuraka. Jeżeli tak mają wyglądać „exy” dla Xbox One, to Microsoft ma u mnie zielone światło.

#cRPG #smoki #fantasy

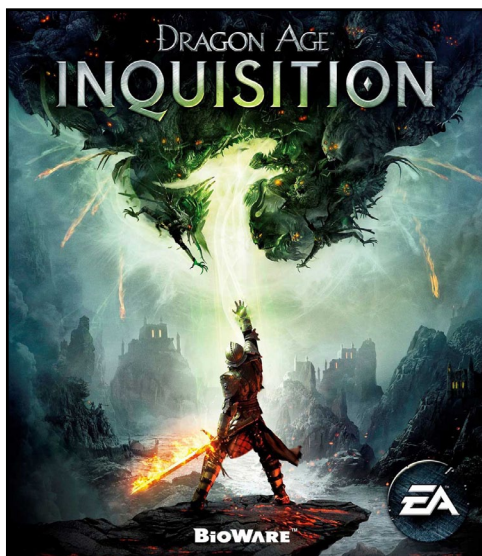
Dragon Age: Inkwizycja

Po znakomitej jedynce i okropnej dwójce przyszedł czas na ostateczny test. Czy BioWare wciąż potrafi robić dobre RPG, czy może gdzieś w tej poprawności politycznej zatracił się charakter studia? Odpowiedź znajdziemy w szeregach **Inkwizycji**.

Trójka sprytnie spina klamrą wydarzenia zaprezentowane w poprzednich częściach, a na osoby, które zaimportują swoje wcześniejsze dokonania, czeka ogrom dodatkowych smaczków. Fabuła często puszcza do nas oczko i sprawia, że w myślach powracamy do przeszłości. Jak przystało na BioWare, opowiedziana historia jest rozbudowana, wielowątkowa i – o dziwo – daje ogromną swobodę w przemierzaniu kolejnych lokacji.

Świat gry jest ogromny i wypełniony różnicowanymi zadaniami. Niestety, te ostatnie często nawiązują do niechlubnej tradycji MMO, każąc nam uganiać się za fretkami i innymi mułami, zbierać określoną ilość ziół czy brać udział w zawodach konnych. Nie do tego zostały stworzone elitarne oddziały Inkwizycji.

Trzecia część uległa jeszcze większemu „ukonsolowieniu”, co przejawia się głównie w słabym sterowaniu i chaosie panującym na polu bitwy.



Niby jest dostępny tryb taktyczny, jednak kulawa praca kamery sprawia, że jest on równie przydatny, co złamany kostur w rękach maga. Niby można z niego wykrzesać iskry, jednak pikującego na nas smoka tym nie zgładzimy.

Mimo pewnych niedociągnięć i uproszczeń w nowe **Dragon Age** gra się wyśmienicie. Już od pierwszych godzin stajemy się zakładnikami wykreowanego świata, a szansy na wyzwolenie upatrywać należy wyłącznie w wyróżnieniu wszystkich smoków. A tych jest całkiem sporo.

Opracował: *Wojciech Onyszków*

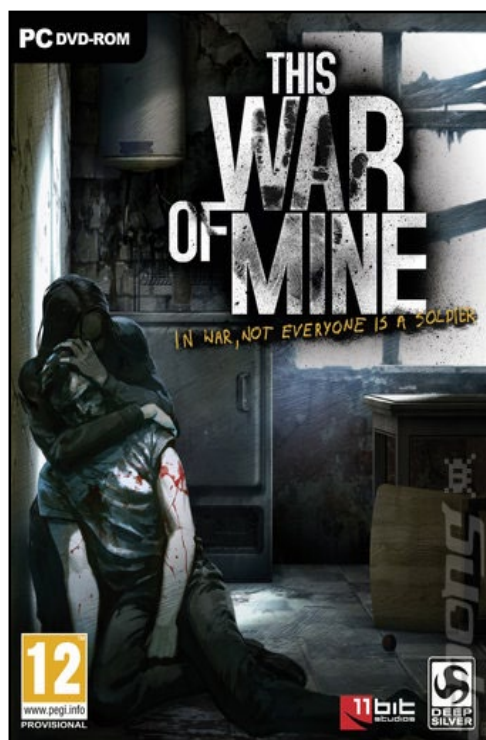


BUDUJEMY
MUZEUM GIER WIDEO
WE WROCŁAWIU

#wojna #survival #kac moralny

Wojna *nigdy nie była tak* okrutna

„W każdym z nas jest żołnierz” – głosi hasło reklamowe najnowszej części **Call of Duty**. Tymczasem polskie 11 bit studios na przekór temu twierdzeniu wydało **This War of Mine** i udowodniło, że prawdziwe piekło toczy się z dala od linii frontu.



This War of Mine

This War of Mine to z pozoru klasyczny symulator przetrwania. To, co wyróżnia go od reszty, to kręgosłup moralny, który daje o sobie znać nieprzyjemnym kluciem podczas podejmowania trudnych decyzji. Podzielić się lekami ze stojącymi u drzwi dziećmi i uratować ich mamę, czy zachomikować je na czarną godzinę? Witamy na wojnie, w której stawką jest przetrwanie.

Dzień 1

Trafiłem tu zupełnie przez przypadek, obserwując innych ocalałych. Dobrze, że mamy ze sobą Bruna. Przed wojną był chyba kucharzem i prowadził restaurację. Przynajmniej o jakość jedzenia nie musimy się martwić. Gdyby tylko było co włożyć do garnka. Nie sądziłem, że to kiedyś powiem, ale dałbym się pokroić za zwykłą konserwę.



W **This War of Mine** kontrolujemy trzy postacie. Każda z nich posiada umiejętność specjalną, a czasami także nałóg, który poprawia samopoczucie, ale i wpędza w depresję, gdy zabraknie „surowca”. Rozgrywkę zaczynamy w wielopiętrowej ruinie, którą na przestrzeni kolejnych dni musimy przeobrazić w dobrze zorganizowaną kryjówkę. Przydadzą się do tego deski, elementy elektroniki czy bimber, który przehandlujemy na coś wartościowego.

Gra została podzielona na dwa etapy. Za dnia porządkujemy nasze kąty, majsterkujemy w naprędce stworzonym warsztacie i gotujemy strawę, o ile lodówka nie świeci pustkami. Z domu nie wychodzimy, gdyż ulicę obstawili snajperzy gotowi zrobić sito ze śmiątka, który wychyli się zza rogu.

W nocy wybieramy postać, która ruszy w miasto z nadzieją na znalezienie czegoś ciekawego. Materiały potrzebne do zmontowania prowizorycznego łóżka, a może nieco mięsa,

które pozwoli przetrwać kolejne dni? Pozostałych podopiecznych możemy oddelegować do spania lub pozostać na warcie. Wojna budzi w ludziach najgorsze cechy. Kto wie, czy ktoś nie przyjdzie nas okraść?

Dzień 7

Para starszusków mieszkająca w sąsiedztwie twierdziła, że nie mają nic ciekawego. W spiżarni, do której musiałem się włamać, znalazłem sporo prowiantu i leków. Jest także markowa wódka. Piłem taką, zanim wybuchła ta cholerna wojna. Gdybym ich nie okradł, zrobiłby to ktoś inny. W końcu wszyscy chcemy przetrwać... Kiedy to się skończy? Na dworze robi się coraz zimniej, a my nie mamy czym się ogrzać.

This War of Mine szachuje nas ciągłą niepewnością i brakiem potrzebnych dóbr. Wybór pomiędzy lekami, jedzeniem i bronią to chleb powszedni. Ostatnia paczka tabletek może

w końcu wyleczyć chorą postać. Równie dobrze można ją przehandlować na konserwy, z których skorzystają wszyscy. Rozgrywka sprowadza się do balansowania na krawędzi i rezygnowania z dobrego samopoczucia jednej osoby na rzecz innej.

Warszawskie studio postarało się, aby obok **This War of Mine** nie można było przejść obojętnie. Gra wywołuje kaca moralnego i zmusza do głębokiego zastanowienia. Nie moralizuje w żaden sposób ani nie gani za „złe” zachowanie. To kwestia wyłącznie naszego wnętrza. Znakomity przykład na to, do czego jesteśmy w stanie się posunąć, by przetrwać. W tej grze nie ma bohaterów. Są tylko ocalali.

Dzień 35

Bruno już drugi dzień leży nieprzytomny. Wciąż zastanawiam się, skąd bandyci wzięli tyle amunicji. Przeczesałem całą okolicę, ale nie znalazłem bandażu. Już kilka nocy nie widziałem żadnych śladów aktywności u staruszków. Chyba stało się najgorsze. Nie wiem, ile jeszcze zdołamy przetrwać. Katia fiksuje, bo od kilku dni nie mamy kawy. Jestem na skraju wyczerpania.

Ponura i przygnębiająca atmosfera jest potęgowana przez znakomitą

oprawę audiowizualną. Nie znajdziemy tu efektownych fajerwerków czy graficznych wodotrysków. Świat jest skąpany w odcieniach szarości. Na próżno szukać tu elementu, który choć na chwilę uwolniłby nas od wydarzeń ostatniej nocy. 11 bit studios niewielkimi nakładami finansowymi osiągnęło artystyczny majstersztyk.

Dzień ostatni

Tyle się ostatnio działo. Nie pamiętam już nawet, ile tkwię w tej dziurze. Bruno odszedł, Katia zamknęła się w sobie. Stałem się potworem. Po co to wszystko? By przetrwać? Nawet jeśli mi się uda, czy będę mógł bez odrazy spojrzeć w lustro? Wojna mnie zmieniła. Nic już nie będzie takie samo.

This War of Mine daje najwięcej satysfakcji za pierwszym i drugim podejściem. Później do rozgrywki wdzierają się znane schematy i wciąż te same miejscówki. Nie przeszkadza to jednak w kontemplacji tego, co przeżyliśmy. Wirtualna wycieczka do wnętrza siebie i granic własnego jestestwa. Wyczekiwany powiew świeżości w skostniałej branży gier.

Wojciech Onyszków



Tango z piratem

Piraci – przekleństwo XVII-wiecznych kupców. Przywłaszczali sobie wszystko, co chcieli, a gdy atmosfera robiła się gęsta, sięgali po kordelas, drugą rękę trzymając w pobliżu przypiętego do pasa pistoletu. W wolnych chwilach chętnie wygrzewali się na słońcu lub przesiadywali w portowych karczmach, ciesząc się towarzystwem kobiet i dobrych trunków. 400 lat później ci sami osobnicy odstąpili od broni na rzecz klawiatur i myszek. Nie zmieniło się jedno – wciąż uwielbiają dostawać wszystko za darmo.

Bez zmian pozostała także inna kwestia – opór stawiany podczas abordażu. Niegdyś w ruch szły armaty, dzisiaj wystarczy kilka podstępnych sztuczek. Brakujący element gry, niespodziewana śmierć głównego bohatera czy może świnie zamiast żelaza? W historii elektronicznej rozrywki znajdziemy wiele ciekawych prób uprzykrzenia życia piratom.

wszystkie sztabki żelaza na świnie. Zamiast wykuwać pancerz i broń potrzebną do podbojów okolicznych włości, gracz wywieszał na hakach kolejne półtusze, na które z przejedzenia nikt już nie mógł patrzeć. Ze swoją chrumkającą armią piraci zamiast grozy wzbudzali co najwyżej politowanie.

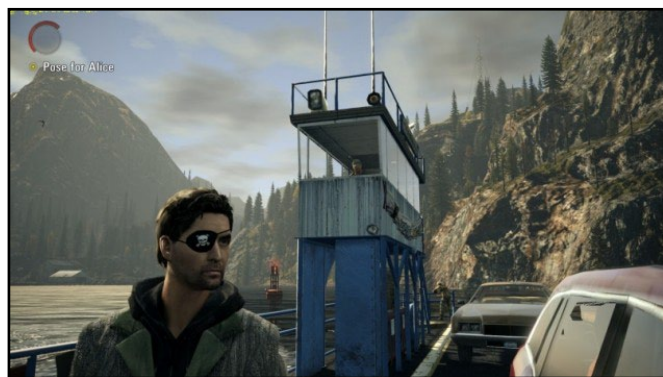
Świnia została podłożona

Parafraza popularnego zwrotu znanego graczom **Counter-Strike'a** świetnie pasuje do **The Settlers III**. Wersja gry pochodząca z alternatywnego źródła posiadała ciekawe zabezpieczenie, które przerabiało



Settlers III





Alan Wake

W nieco mniej inwazyjny sposób swój sprzeciw wyrazili twórcy **Alana Wake'a**. Gdy silnik gry wykrył w systemie cracka, dodawał do ubioru dość charakterystyczny element. Główny bohater w poszukiwaniu swojej żony paradował po tajemniczym Bright Falls i walczył z kreaturami z... korsarską opaską na oku. Grunt to dobrze wyglądać.

Oryginalny pomysł na poruszenie sumienia nieuczciwych graczy posiadali także autorzy **Game Dev Tycoon**, w którym wcielamy się w deweloperów, projektując własne gry i licząc na duże zyski ze sprzedaży. Studio własnoręcznie umieściło na zatoce piratów spreparowaną edycję. Niczego nieświa-

domi gracze po pewnym czasie zaczęli narzekać na irytujący problem. Prowadzona przez nich firma bankrutowała z powodu piractwa. Motyw ten występował wyłącznie w nielegalnej wersji gry, dzięki czemu łatwo można było oddzielić ziarno od plew. Szczytem hipokryzji było pytanie, czy w grze można opracować zabezpieczenie DRM. Ogień został zwalczony ogniem.



Game Dev Tycoon





Wiedźmin 2

Oko za oko, ząb za ząb

„Edukacja” wilków morskich nie zawsze odbywała się pokojowo. Przyłapani na gorącym uczynku byli niekiedy skazywani na męki i śmierć. Powieszenie przy dobiegającym z tłumu „śmierć złodziejom” było wystarczającą nauką dla potomnych. W taki sposób Polacy z CD Projekt RED uśmiercali Geralta, gdy temu udowodniono tajne konszachty z piracką bracią. Zbyt częste przebywanie w ich towarzystwie owocowało także w erotycznych uniesieniach z... Mariettą Loredó, która lata swojej świetności miała już dawno za sobą. Jej postać zastępowała urodziwe partnerki wiedźmina z normalnej wersji gry.

Bezlitośnie ze swoim bohaterem obchodziło się również RockSteady Studios. Piracki Batman nie tylko nie potrafił latać. Szwankowała także jego percepcja – linka z hakiem zamiast w cel trafiała w podłoże, w efekcie czego wciągała nas... pod ziemię. W pewnym momencie należało przelecieć

nad oparami trującego gazu. Nasz detektyw spadał jednak bezpośrednio w objęcia śmierci. W taki sposób **Arkham Asylum** nie dało się przejść.

Charytatywnie

Deweloperzy dwoją się i troją, by zabezpieczyć swój produkt przed piractwem, jednak na samym końcu i tak zwycięża nieuczciwy gracz. Świadome walki z wiatrakami studia całkowicie rezygnują z uciążliwych mechanizmów, a nawet... rozdają pełne wersje gier na pirackich stronach. Postąpiło tak między innymi 11 bit studios z **This War of Mine**, dziękując za uznanie i ciepłe słowa graczy.

Nadzieją dla twórców może się okazać nowy system zabezpieczeń – Denuvo. Zaawansowana technologia sprawia, że dotychczas nie udało się jej złamać i być może nic w tej materii się nie zmieni przez kilka kolejnych miesięcy, ale raczej nie dłużej.

Wojciech Onyszków